

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 30 (1237) 22 LIPCA 1984 R. CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

Starokatolickie wyznanie wiary ● O
Polsce i Polakach ● Śladami Krzyżow-
ców w Polsce ● Pokłon Ziemi Ojczy-
stej ● Hemingway, człowiek i morze ●
„Rodzina” – dzieciom

Haftowany
złotą nicią
Orzeł RP
na modlitewniku
królowej Polski,
Zofii,
wdowy po
Władysławie Jagiello.
Jest to
reprodukcja
z Biblii
Królowej Zofii
jako
przekładu
Starego
i Nowego Testamentu
dokonanego
około
roku 1455
dla
królowej
Zofii.
Ten
niezwykle cenny
przekład
z języka greckiego
na polski
pod nazwą Biblii
Szaro-Szpatackiej
zachował się
do naszych czasów
zaledwie
w kilkunastu kartach
w miejscowości
Szarosz-Patak
na Węgrzech



SZÓSTA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Rzymian (6, 3-11)

Bracia: wszyscy, którzykolwiek ochrzczeni jesteście w Chrystusie Jezusie, w śmierci Jego ochrzczeni jesteście? Przez chrzest bowiem zostaliśmy razem z Nim pogrzebani w śmierć, aby jako Chrystus zmartwychwstał przez chwałę Ojca, tak i my, byśmy w nowości życia chodzili. Bo jeśli zostaliśmy wszczępieni w podobieństwo śmierci Jego, to i w zmartwychstanie będziemy. Wiedząc, że stary w nas człowiek został współukrzyżowany, aby zniszczone było ciało grzechu, oraz, abyśmy nadal nie służyli grzechowi. Kto bowiem umarł, wyzwolony jest spod grzechu. Jeśliśmy jednak z Chrystusem umarli, wierzymy, że również z Chrystusem żyć będziemy. Wiedząc, że Chrystus powstawszy z martwych więcej nie umiera i śmierć już więcej nad nim nie zapanuje. Bo, że umarł dla grzechu, raz umarł, a że żyje, żyje w Bogu. Tak i wy rozumieście, żeście umarli dla grzechu, a życie dla Boga w Chrystusie Panu naszym.

Ewangelia według św. Marka (8,1-9)

Onego czasu: Gdy wielka rzesza była z Jezusem, a nie miała co jeść, przywoławszy uczniów, rzekł im: Żal mi tego ludu, bo to już od trzech dni trwają przy mnie, a nie mają co jeść, a jeśli ich puszczę zgłodniałych do domów ich, staną w drodze, bo niektórzy z nich przyszedli z daleka. I odpowiedzieli Mu uczniowie Jego: Skądże by ich mógł kto nakarmić chlebem tu na pustkowiu? I zapytał ich: Ile chlebów macie? A oni rzekli: siedem. I rozkazał rzeszy usiąść na ziemi. I wzięwszy siedem chlebów, dzięki czyniąc łamał i dawał uczniom swoim, aby przed nich kładli; I kładli przed rzeszą. Mieli też trochę rybek i te błogosławił i kazał przed nich położyć. Jedli tedy i nasytili się i zebrali, co zbywało z ułomków, siedem koszów. A było tych co jedli, około czterech tysięcy; I odprawił ich.

„Żal mi tego ludu”

Jeżeli niedzielę poprzednią nazwać mogliśmy dniem parafii jako społeczności liturgicznej, to dzisiejszą możemy określić jako niedzielę liturgiczną. Bowiem jej czytania mszalne ukazują nam dwa główne sakramenty: chrzest i Eucharystię, będące ogniskami życia nadprzyrodzonego zarówno każdego chrześcijanina z osobna, jak i całej społeczności Kościoła Chrystusowego. Oba te sakramenty unoszą bowiem duszę naszą z ciemności ku światłu życia Bożego i przygotowują nas do udziału w szczęśliwości wiecznej.

Ewangelia dzisiejsza wspomina o drugim rozmnożeniu chleba. O pierwszym słyszeliśmy w czwartą niedzielę Wielkiego Postu. Równocześnie obrazuje ona wielką troskę boskiego Zbawiciela nie tylko o zaspokojenie doczesnych potrzeb swoich wyznawców, lecz w pierwszym rzędzie potrzeb ich umysłów i dusz. Na te potrzeby człowieka zwrócimy w niniejszym rozważaniu szczególniejszą uwagę.

Po pierwszym cudownym nakarmieniu rzeszy, udał się Pan Jezus do krainy Tyru i Sydonu. Stąd zaś — obszedłszy szerokim łukiem Galileę i przeszedłszy Jordan — dotarł do Dziesięciogrodzia. Tutaj zatrzymał się; prawdopodobnie nieco dłużej. I jak zwykle „znowu (wokół Jezusa) było wielkie mnóstwo ludu” (Mk 8,1a), który nadszedł licznym z terenów zamieszkałych przez pogan. Był początek maja. Tam, gdzie jeszcze przed Paschą widać było świeżą, bujną roślinność, obecnie rozciągała się pustynna, żarem spalona kraina. Chrystus usiadł z uczniami na wzgórku, ogarniając pełnym dobroci spojrzeniem otaczające go tłumy. Cisza zaległa dokoła. Zaś z ust Jego popłynęły słowa, namaszczone „mocą z wysokości”. Mijały godziny, a rzesze trwały nieporuszone. Noc spędził pod gołym niebem, by nazajutrz znów zgromadzić się wokół Niego. I tak niespostrzeżenie nadszedł dzień trzeci. Jak bardzo zasłuchani byli w słowa Nauczyciela z Nazaretu świadczyć może fakt, że całkowicie zapomnieli o swoich potrzebach. Bowiem — jak zauważa Ewangelista — „nie mieli co jeść” (Mk 8,1b).

Zauważył to jednak Zbawiciel. Dlatego „przywołał uczniów i rzekł do nich: Żal mi tego ludu, bo już trzy dni są ze mną, a nie mają co jeść” (Mk 8,1c-2). Uzasadniając zaś swoją troskę o słuchających Go ludzi, dodał: „Jeśli ich rozpuszczę do domów, staną w drodze; a przeciw niektórym z nich przyszedli z daleka” (Mk 8,3). Warto tutaj nadmienić, że ludzie bliskiego wschodu przyzwyczajeni są do

bardzo skromnego odżywiania się. Dwa dni głodówki nie są dla nich czymś nadzwyczajnym. Tym razem byli chyba bardzo głodni.

Jednak Jezus postanowił przyjść im z pomocą. Tak widocznie zrozumieeli to uczniowie Jego, którzy rzekli: „Skąd ktoś potrafi ich nakarmić chlebem, tutaj, na pustyni?” (Mk 8,4). Wynika z tego, że znajdowali się na pustkowiu — zdala od osiedli ludzkich — gdzie nie było możliwości zdobycia żywności w potrzebnej ilości. Zanim jednak zrealizował swój zamiar, „zapytał ich: Ile macie chlebów? Oni zaś rzekli: Siedem” (Mk 8,5). Zaś siedem chlebów rzeczywiście nie było w stanie zaspokoić głodu tłumów. Nie zwracając jednak uwagi na odpowiedź uczniów, Syn Boży „poleciał ludowi usiąść na ziemi” (Mk 8,6a). Następnie (podobnie jak w czasie ostatniej wieczerzy) „wziąwszy te siedem chlebów, i podziękowawszy, łamał i dawał uczniom swoim „by kładli przed nimi” (Mk 8,6b). I dzieląc „kładli (go) przed ludem” (Mk 8,6c). Ale oprócz chleba „mieli też trochę rybek. I pobłogosławiwszy je, kazał.. kłaść przed nimi” (Mk 8,7).

Kończąc swoje opowiadanie o tym wydarzeniu, Ewangelista zaznacza: „Jedli i nasytili się” (Mk 8,8a) wszyscy. Pozostały jednak niedojedzone resztki. By się więc nie zmarnowały, „zebrali siedem koszów resztek chleba, które zbywały” (Mk 8,8b) tym co jedli. Było to wyrazem szacunku dla chleba jako daru Bożego. Tych zaś, którzy jedli, „było około czterech tysięcy” (Mk 8,9a).

Wydarzenie, o którym była mowa ustawicznie się powtarza. Bowiem za pośrednictwem Kościoła posłał Chrystus lud swój chlebem naturalnym. Karmi go również chlebem prawdy nadprzyrodzonej i Eucharystią, by nie ustał na drodze do nieba.

1. Chrystus posłał lud swój chlebem naturalnym. Czynniami to za pośrednictwem Kościoła. Zanim bowiem polecił apostołom nauczać wszystkie narody, wcześniej nakazał: „Dajcie... im jeść” (Mk 6,37a). Stąd ewangelia miłości o sprawiedliwości społecznej — czyli to wszystko, co nazywamy miłosierdziem chrześcijańskim — stanowi podstawę nauki Zbawiciela. Nie należy się więc dziwić, że już u początków Kościoła wyznawcy Chrystusa „sprzedawali posiadłości i mienie, i rozdzielali je wszystkim, jak komu było potrzeba” (Dz 2,45). Dlatego „nie było... między nimi nikogo, kto by cierpiał niedostatek” (Dz 4,34a). Potrzeby wszystkich były zaspokojone.

Praktykę śpieszenia z pomocą potrzebującym kontynuował Kościół na przestrzeni wieków, co zjednywało mu uznanie i nowych wyznawców. Również i obecnie nie jest inaczej. Pamiętając bowiem o nakazie Mistrza w tym względzie, Kościoły chrześcijańskie — w miarę swoich możliwości — śpieszą z pomocą materialną głodującym w krajach trzeciego świata oraz będącym w potrzebie członkom swoich sprzeczności. Nie pozostają także w tyle poszczególne społeczności parafialne, dzieląc się sercem i chlebem z potrzebującymi na własnym terenie. Czynią tak dlatego, ponieważ pamiętają o zapewnieniu Zbawiciela, zawartym w słowach: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych braci moich, mnie uczyniliście” (Mt 25,40).

2. Chrystus karmi ludzi chlebem prawdy nadprzyrodzonej. Bowiem sam materialny chleb nie wystarczy człowiekowi. Stwierdził to uroczyście Syn Boży, mówiąc: „Nie samym chlebem żyje człowiek, ale wszelkim słowem, które pochodzi z ust Bożych” (Mt 4,4). W błędzie są zatem ci, którzy twierdzą, iż dobrobyt materialny jest w stanie zaspokoić wszystkie potrzeby ludzkiego serca i umysłu.

Głównym zadaniem Zbawiciela było odkupienie ludzi przez mękę i śmierć oraz przygotowanie ich do Królestwa Bożego przez głoszenie „Dobrej Nowiny”. Stąd głoszeniu Ewangelii poświęcił Chrystus lata swego życia publicznego, siejąc niestrudzenie bezcenne ziarno prawdy nadprzyrodzonej, przewyższającej wartością i ważnością systemy filozoficzne i społeczne wszystkich czasów. Dlatego musimy przyznać rację Apostołowi, który pisze: „Królestwo Boże, to nie pokarm i napój, lecz sprawiedliwość i pokój, i radość w Duchu Świętym” (Rz 14,17). Zadanie karmienia dusz prawdą Bożą przekazał Jezus swemu Kościołowi. Bowiem apostołom i ich następcom polecił: „Idźcie... i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28,19a). Do nich też powiedział: „Kto was słucha, mnie słucha” (Łk 10,16a).

3. Chrystus posłał lud swój Eucharystią. Przyjmuje się powszechnie, że cudowne rozmnożenie chleba jest obrazem rozmnożenia chleba eucharystycznego, którym Zbawiciel karmi pokolenia ludzkie, by nie ustały w drodze do niebiańskiej ojczyzny.

Z woli Bożej wezwani jesteście do życia i szczęścia wiecznego. Nie jest nam jednak w stanie zapewnić tego chleb materialny. Dał temu wyraz Jezus po pierwszym rozmnożeniu chleba, mówiąc: „Zabiegajcie nie o pokarm, który ginie, ale o pokarm, który trwa, o pokarm żywota wiecznego, który wam da Syn Człowieczy” (J 6,27). W chwilę zaś później dodał: „Ja jestem chlebem żywym, który z nieba zstąpił; jeśli kto spożywać będzie ten chleb, żyć będzie na wieki; a chleb, który Ja dam, to ciało moje, które oddam za żywot świata” (J 6,51). O takim chlebie nikt nie ośmieliłby się nawet marzyć. A jednak to, co przekracza najśmielsze marzenia, staje się rzeczywistością w Wieczerniku i na ołtarzach naszych.

Umacniajmy się więc prawdą nadprzyrodzoną i posilajmy często chlebem eucharystycznym. Równocześnie chętnie udzielajmy potrzebującym chleba powszedniego. Bowiem tylko w ten sposób zapewnić sobie możemy życie i szczęście wieczne w królestwie niebios.

Ks. JAN KUCZEK



CUD CHLEBA

„Daneś nam Panie chleb z Nieba wszelką rozkosz zawierający w sobie, Alleluja!”

Któż z nas nie był urzeczony w maju lub czerwcu, widząc kołyszące się łany zbóż na polach, kiedy mknąc samochodem lub pociągiem przecinał wstęgi dróg. Jeszcze większego wzruszenia doznawaliśmy gdy przechodząc miedzą czy polnymi ścieżkami, dotykaliśmy palcami jak strun fortepianu nabrzmiałych ziaren kłosów. Jak radowało się serce nasze — będzie nowy chleb. Czyż wtedy myśl nasza nie wznosiła się do Boga, Stwórcy Wszecrzeczy, który dla człowieka tak ubogacił świat i ziemię (Rdz 1,11).

Nieogarniony w swej dobroci Bóg w Trójcy Jedynej całą przyrodę podporządkował prawom służenia człowiekowi, którego stworzył jako dziecko swoje i dziedzica wszechświata: „I stworzył Bóg człowieka na obraz swój. Rośnijcie i rozmnażajcie się i wypełnijcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną; panujcie nad nią...” (Rdz 1, 26-30).

Dlatego Opatrzność Boża przez wieki i aż do skończenia świata jest z człowiekiem i sypie z Nieba ziarnem chleba. Na ziemi nigdy człowiekowi nie zabraknie chleba, chyba że człowiek przez grzech niszczy prawo natury.

Ziarno rzucone w ziemię ma moc rodzenia i rozmnażania. Z jednego wyrasta wspaniały kłos. W nim tkwi cudowna moc wegetacji. Przed kilkoma laty prasa podała, że w grobowcu faraona sprzed 4 tys. lat znaleziono ziarna, które wrzucone w ziemię ożyły. W tym tkwi cud chleba dający życie człowiekowi.

Ten cud chleba powtarza się corocznie także na naszej polskiej ziemi. Zawsze, kiedy ziarno — rzucone w ziemię obumrze, napełnione zostają spichlerze, a na stole jest chleb.

Na kartach Pisma Św. motyw chleba przejawia się bardzo często — jako symbol chleba żywota wiecznego. Bywa, że gdy brakuje chleba, Bóg interweniuje mocą nadprzyrodzoną w prawa przyrody, by nakarmić człowieka (Moj. 16,8 — I Król. 17,4 — Jan 6, 5).

Chleb stał się symbolem życia, dlatego przez wieki otaczany był szacunkiem i czcią.

W tradycji polskiej przed wypiekiem znacząco blachy znakiem krzyża, a wypieczony przed krojeniem błogosławiono znakiem krzyża. Gdy upadł nawet najmniejszy kawałek, podnoszono go i całowano z szacunkiem. Resztkami karmiono ptactwo, nie mogła zmarnować się ani okruszynka.

Brak chleba powoduje głód i śmierć. Tego doświadczyli więźniowie obozów koncentracyjnych, o tym wiedzą świadkowie, którzy przeżyli te obozy śmierci, o tym mówią tomy napisanych ksiąg.

Dlatego lękiem i zgrozą napawa nas, gdy widzimy jak wielkie jest marnotrawstwo chleba obecnie w naszym kraju. Dzieci w szkołach i gospodynie domowe wyrzucają chleb do śmietnika. O tym się mówi w prasie i Telewizji (jak np. 3 czerwca br. w programie II w audycji pt. „Szalona gospodyni”). Oby nas Bóg za to nie ukarał.

„Jak wielki cud Bóg uczynił, że chleb w w ciał swe przemieni!” — ta pieśń wyraża teologiczny aspekt chleba w życiu chrześcijańskim. Chleb — symbol — stał się rzeczywistością życia nadprzyrodzonego, jako realizacja Boskiego Testamentu w Zbawczej Ofierze Chrystusa i ustanowieniu Sakramentu (Łk 21, 19).

Eucharystyczny cud chleba powtarza się nieustannie na całej kuli ziemskiej, ilekroć sprawowana jest Bezkrwawa Ofiara — Msza Św. Chlebem Żywota w Komunii Świętej karmią się dusze ludzkie, by żyły życiem Bożym i czerpią siłę wzrostu w cnotach i do walki z grzechem (Jan 6, 48-51).

Dojrzewają do żniw łany zbóż na polach. powtarza się nowy cud chleba. Nasyconie nie możemy przechodzić obojętnie, nie dostrzegając tego. Bóg, nasz Ojciec, który jest w Niebie, hojnie karmi świat, swoje dzieci. Stąd też refleksja, by wznieść serca w pokornej i wdzięcznej modlitwie do Boga, w dziękczynieniu i uwielbieniu oraz postanowienie żywienia czci i szacunku dla chleba — daru Niebios.

Dr Andreas RINKEL (1889—1979)
Arcybiskup Utrechtu
w latach 1937—1970

Starokatolickie Wyznanie Wiary

(5)

Kościół zaś pozostaje stworzeniem Bożym, owocem tego samego objawienia, które przez usta proroków i apostołów powołało do życia Pismo Święte. Nie chcemy włączać się do dyskusji nad tym, czy Pismo Święte winniśmy stawiać wyżej od Kościoła, czy też odwrotnie. Wierzymy bezwarunkowo, że najpierw został założony Kościół, aby okazać posłuch Słowu Bożemu, zawartemu w Piśmie Świętym. Ale równocześnie Pismo Święte zostało przez Boga dane Kościołowi na własność, nad którą ma czuwać, którą ma głosić, krzewić, zachowywać i wyjaśniać mocą samego Ducha Świętego, który proroków i apostołów skłaniał do spisania Pisma Świętego.

Tutaj leżą głęboko sięgające korzenie Tradycji Kościoła, która powstała wówczas, gdy pierwsi ludzie zaczęli świadomie rozmawiać z sobą o Bogu. Tak więc Tradycja Kościoła jest mówiącym i działającym Kościołem, który poprzez mieszczącego i działającego w nim Ducha Świętego czerpie z Pisma Świętego, jako ze swego największego daru Bożego, i przekazuje objawienie Boże swoim słowem, swym działaniem i swoją modlitwą. Dlatego pierwszym zadaniem Kościoła jest uzgodnić swoje słowa, czyny i modlitwę z tym, co Bóg chciał mu objawić w akcie Pisma Świętego, ponieważ prawda jest jedna i niepodzielna. Z tego też powodu Kościół ma prawo i obowiązek — i tutaj wolno mi przywołać myśl ludzką czyli teologię — skonfrontowania działalności i modlitwy Kościoła z Pismem Świętym, ale równocześnie posiada także prawo i obowiązek porównania vice versa, najgłębszej treści Pisma Świętego ze świadectwem Kościoła w słowie, czynie i modlitwie, poprzez wszystkie wieki i pokolenia.

Kościół jest domem zbawienia, mieszkaniem Ducha Świętego, kolumną prawdy, przybytkiem Boga wśród ludzi. Jest on bezpośrednim stworzeniem Bożym. Jest on pierwszym owocem dzieła wcielonego Syna Bożego, Jezusa Chrystusa, który wzywa do Kościoła wszystkich, którzy w Niego wierzą i przez Niego chcą być zbawieni i uświęceni. Kościół jest Jego przedstawicielem w widzialnej postaci, zawdzięczającym swoje życie, działalność i modlitwy zesłanemu przez Jezusa Chrystusa Duchowi Świętemu, który życie Kościoła nieustannie uświęca i prowadzi. Dlatego św. Paweł Apostoł mógł nazwać Kościół *Ciałem Chrystusa*. Przyznaję, że to słowo jest dla mnie jednym z najbardziej natchnionych słów Apostoła. Oznacza ono więcej niż tylko metaforę, a mianowicie — chociaż wyrażoną nieudolnym językiem ludzkim — najgłębszą prawdę, którą kiedyś człowiek mógł przeżyć i doświadczyć. Tak samo człowiek z wiarą przeżywa i doświadcza prawdę, nazywając Boga Ojcem, Jezusa Chrystusa Synem Ojca i Ducha Świętego trzecią Osobą w jednej istocie Boskiej.

Jeżeli mówimy o *jednym* Kościele, to przyznajemy się, że jest to nasza wiara, gdy mówimy jako chrześcijanie o „Kościółach” i chcemy w ten sposób rozdzielić wśród nas Pana Jezusa.

Jeżeli nazywamy Kościół *świętym*, to wyznajemy, że jest on przybytkiem Ducha Świętego, że powołuje nas i wiedzie do świętości, i że wszystko, co Kościół za sprawą Ducha Świętego, mówi, czyni i o co się modli, jest wyłaniem Ducha Świętego, promieniowaniem Jego nieskończonego upodobania. Upodobanie to przejawia się zawsze w miłosiernej, zbawczej i uświęcającej łasce, przez którą Bóg w Chrystusie przez Ducha Świętego dociera do swych powołanych i odkupionych, udzielając im zawsze na nowo odpuszczenia wszystkich przewinień.

D. R.

(cdn)



Kościół zaakceptował nowy porządek społeczny jako porządek sprawiedliwy, a także w pewnym wymiarze zgodny ze wskazaniami ewangelijnymi. Oczywiście u podstaw tego porządku społecznego leży marksizm. Czy Kościół wobec tego zaakceptował w całej rozciągłości idee i zasady marksizmu? Gdyby ktoś tak sądził to grubo by się pomylił. Synkretystyczne pogodzenie Ewangelii z marksizmem byłoby dla Kościołów zdradą ewangelii, a dla marksistów zdradą idei marksistowskich. Kościół uznał to, co jest do przyjęcia przez człowieka wierzącego, a mianowicie to, że nowy porządek społeczny otwiera drogę dla wszystkich służenia narodowi, służenia człowiekowi i to w większym niż dotychczas wymiarze. I nie chodzi tu o jakiś konformizm, ale o uznanie, że to co służy dobru wszystkich ma być realizowane przez wszystkich, tak marksistów, jak i chrześcijan. Stąd np. akcentowanie zasady pracowitości, sumienności i zwykłej uczciwości. Wprawdzie

CHRZEŚCIJANIE I 40 LAT INNEJ RZECZYWISTOŚCI

Dzień 22 lipca 1944 r. zapoczątkował nową erę w dziejach narodu polskiego. Polska rozpoczęła nowe życie, stając przed perspektywą innej sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej. Również i Kościoły znalazły się w innej niż dotychczas sytuacji, także wyznaniowej.

Do wybuchu II wojny światowej dominującą rolę i pozycję w naszym kraju zajmował Kościół Rzymskokatolicki. Jak czytamy w oświadczeniu Polskiej Rady Ekumenicznej z marca 1963 r. — Kościół ten „był w dużej mierze współodpowiedzialny za kształtowanie się stosunków istniejących w naszym kraju na przestrzeni wieków i aż do drugiej wojny światowej był Kościołem posiadającym prawa i przywileje nie przysługujące żadnemu innemu Kościołowi. Ze stanowiska swej wyłączności wpływał na kształtowanie się opinii publicznej, na stosunek władz i ogółu do Kościołów Chrześcijańskich, na sprawy społeczne, a nawet na kierunek polityki państwowej. Jest rzeczą prawdopodobną, że ogół społeczeństwa w okresie międzywojennym nie orientował się dobrze w rzeczywistej sytuacji kościelnej w naszym kraju, kiedy to niemal na porządku dziennym miały miejsce fakty prześladowań religijnych, niszczenia świątyń i więzienia duchownych rozmaitych Kościołów Chrześcijańskich. Rzecz jasna, sytuacja powyższa nie przysparzała naszemu krajowi sympatii i szacunku jako państwu nowoczesnemu, lecz stawiała go pod względem wyznaniowym w rządzie państw o niższej kulturze”.

I oto ta sytuacja zmienia się z dniem 22 lipca 1944 r. Powstające nowe państwo, bo państwo ludowe, daje równe prawa wszystkim Kościołom i Wyznaniom. Żaden Kościół nie jest faworyzowany, żaden nie otrzymuje specjalnych przywilejów. Dla Kościołów mniejszościowych było to coś nowego. Skończył się czas prześladowań, szykan i dreczenia ludzi z tego tylko powodu, że należeli do innego Kościoła niż Kościół Rzymskokatolicki. Wiele Kościołów, w tym także Kościół Polskokatolicki, otrzymało legalizację, to znaczy zostało uznane przez Władze Państwowe jako Kościoły prawnie działające w naszym kraju. A więc nowa, niespotykana w historii naszego państwa, sytuacja dla wszystkich chrześcijan. To oczywiście ma wpływ na kształtowanie się i zmianę dotychczasowego sposobu myślenia teologicznego i zmianę dotychczasowej praktyki kościelnej. W stosunku do władzy politycznej Kościoły zajęły otwartą i lojalną postawę. Rzecz jasna nie była to i nie jest postawa niewolniczej służalczości czy bezkrytycznej akceptacji lub całkowitego podporządkowania. Postawę tę charakteryzuje głównie zaangażowanie się Kościołów Chrześcijańskich — zwłaszcza zrzeszonych w Pol-

skiej Radzie Ekumenicznej — w akcje odbudowy zniszczonego kraju, uznanie racji bytu PRL za swoją własną podstawę egzystencji, zaangażowanie na rzecz sprawiedliwości społecznej, walki o pokój i słuźenie człowiekowi. Tu trzeba podkreślić, że Nowa Władza Ludowa nigdy nie wymagała i nie wymaga od Kościołów — jak niektórzy jeszcze myślą — jakiejś oportunistycznej aklamacji czy uznania wszystkich zasad i idei marksistowskich. Lojalność oznacza tu dialog i konstruktywne, harmonijne współdziałanie oparte o wzajemne zaufanie, wzajemną lojalność i wspólną troskę o byt każdego człowieka, niezależnie od jego przynależności wyznaniowej czy przyjmowanego światopoglądu.

Dzień 22 lipca 1944 r. zapoczątkował nową erę w sferze życia społecznego w naszym kraju. To też nie pozostało bez wpływu na życie i działalność Kościołów. Nowa sytuacja wpłynęła decydująco na to, że Kościoły zaczęły na nowo analizować swoje ewangeliczne posłannictwo, na nowo rozumieć rolę Kościoła w świecie, miejsce i odpowiedzialność w nowym społeczeństwie. Przede wszystkim

z innych przesłanek ideowych wychodzą marksści, a z innych chrześcijanie. Jednak cel jest jeden i ten sam. Wszyscy są bowiem zobowiązani walczyć z niesprawiedliwością społeczną i wszelkimi przejawami tej niesprawiedliwości. Wszyscy mają obowiązek troszczyć się o to, by chleba i nie tylko chleba było więcej w naszym kraju. Wszyscy powinni starać się nieść pomoc cierpiącym, walczyć z wszelkimi przejawami patologii społecznej, walczyć z szerzącym się alkoholizmem czy budzącą niepokój zdrowej części społeczeństwa narkomania. A czy pokój na świecie — to ma być tylko sprawa jakiegoś ugrupowania? Chrześcijanie walczą o to wszystko w przekonaniu, że słuźą człowiekowi zgodnie z zadaniem zleconym im przez Ewangelię, przez Jezusa Chrystusa.

Nowa sytuacja społeczna otworzyła nową drogę dla wszystkich. Znaleźliśmy się wszyscy na bardziej szerokiej płaszczyźnie, na której są możliwości współdziałania i współpracy. Sama możliwość, a także faktyczna współpraca ma i tę zaletę, że może łączyć wszystkich niezależnie od światopoglądu. Wszyscy są też tu jednakowo odpowiedzialni, odpowiedzialni za człowieka i za ten świat, który jest nam przez Stwórcę dany.

Trzeba tu także jeszcze — choćby pokrótce — uwzględnić i to, że głównym celem Kościołów nie jest zaangażowanie społeczne. Ono wypływa z Ewangelii — to prawda. Ale głównym celem jest misja nadprzyrodzona, prowadzenie ludzi do zbawienia. Stąd w sprawach zaangażowania społecznego Kościoły mają obowiązek na nowo odczytywania Ewangelii i tej kardynalnej wypowiedzi Jezusa Chrystusa, zawartej w słowach — „Odadajcie więc Cezarowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga” (Mt 20,21), a także innych wypowiedzi, zwłaszcza zawartych w Listach św. Pawła Apostoła. W oparciu o te właśnie wypowiedzi chrześcijanie mają prawo, obowiązek, zaszczyt i przywilej, zdecydowanie określać swą postawę w odniesieniu do wszystkich rzeczywistości ziemskich tak, aby postawa ta uwzględniała i szanowała wszystkie prawa, którymi te rzeczywistości się rządzą, szanowała prawa przysługujące władzy politycznej, ale i odzwierciedlała ducha Ewangelii.

Kościół ma być nie tyle apolityczny, co metapolityczny. I to pozwala zarówno Kościołom jak i poszczególnym wyznawcom angażować się w sprawy społeczne, polityczne i gospodarcze Ewangelia bowiem obejmuje w sposób totalny całego człowieka i jest kierowana do wszystkich bez wyjątku ludzi.

LIPIEC

*Lipcowe strofy, żniwne strofy,
pod kosą rymów zżęty
lan
jak rozrzucone iskry włosów
niebieskookich dziewcząt
z Cann.
Szumią sitowiem, pachną wiatrem,
prężą pod dłońią złoty
kark
i popołudnia żar unoszą
jak wrzącą wodę
letni dżban...
Lipcowe strofy, Boga pełne,
pszenicznych perł syпки
sznur
u stóp złożona niepodzielność
chleba i życia —
ziemski chór.*

ELŻBIETA DOMAŃSKA
(1984)

Ks. TOMASZ WÓJTOWICZ



O POLSCE i POLAKACH

22 VII 1944 — 22 VII 1984. Te dwie daty pobudzają do refleksji, do zamyślenia się nad minionym okresem, nad zmianami już zaszły i zachodzącymi. Zachęcają też do wpatrzenia się w przeszłość, z której wywodzi się każda teraźniejszość. Stąd właśnie wybór myśli i rozważań naszych Rodaków, żyjących w bliższej lub odleglejszej przeszłości, rozważań o Ojczyźnie, o Polsce i o Polakach.

Czego podejmujemy się z miłości ojczyzny, miłością jest, nie szaleństwem, męstwem, nie zuchwałością; bo mocna jest miłość jak śmierć, im trwożliwsza tym śmielsza. Nic bowiem śmielej nie wzywa obywateli pod broń niż obawa przed ogólnym niebezpieczeństwem.

WINCENTY ZW. KADŁUBKIEM
ok. 1150—1223

Trudno milczeć, gdy boli; trudno nie wołać w złej toni; trudno też nie wzdychać w niewoli: w jednej łodzi siedzimy, wiatry przeciwne mamy, welny biją, maszty łomią, żagle drą, morscy rajtarzy na łódź szturmują, nas dobywają, ognie miecią, łódź palą, na patrona godzą. Żeglarze śpią. Ja, ginąc, na Was „Rata” wołam, których wszystkich pomoc wielka, z osobna każdego mała moc w tej łodzi jest.

STANISŁAW ORZECZOWSKI
1513—1566

Teraźniejszemu przypatrując się stanowi narodu naszego, niesprawiedliwościami sądów ohydzonego, od możniejszych nad słabszymi mocą poniżonego, zakłóconego w domu, rozerwanego między stronami, wzgardzonego od postronnych, zniszczonego w najpiękniejszych kilku prowincjach bez mieszania się w niczyją wojnę, cierpiącego tyle, ile opresyj i ruin w własnej nie wycierpiałby wojnie, zdartego z dobrej, a na wiek długi najgorszą skorup prawie, nie pieniędzy zarążonego monetą, świecącego się nieco fortunami prywatnych, ale publicznym strapionego ubóstwem i wysiłonego na zabytki, złupionego z mi-

dokończenie na s. 10

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (859)

w opracowaniu bpa M. RODEGO

R Aleksandryjskim; Hilarius — Bischof von Poitiers. Eine Monographie (1864), czyli Hilary — biskup Poitiers. Monografia; Die Geschichtsphilosophie des heiligen Augustinus (1866), czyli Filozofia dziejów — świętego Augustyna; Der heilige Martin von Tours... (1866), czyli Święty Marcin z Tours jego życie i działalność; Papst und Papsttum nach der Zeichnung des heiligen Bernhard von Clairvaux. Übersetzung und Erläuterung seiner Schrift: De consideratione (1870), czyli Papież i papieżstwo na podstawie szkicu św. Bernarda z Clairvaux. Tłumaczenie i poszerzenie jego pracy...; Über die papstliche Unfehlbarkeit. Einige Reflexionen (1870), czyli O popieskiej nieomyślności. Kilka refleksji; Die papstlichen Dekrete vom 18. Juli 1870 (1871), czyli Papieskie dekrety z 18 lipca 1870 r.; Über die angebliche Verfolgung der Katholischen Kirche in Deutschland, besonders in Preussen (Rede Mowa; 1873), czyli O rzekomym prześladowaniu Kościoła Katolickiego w Niemczech, zwłaszcza w Prusach; Die Lehre des heiligen Cyprian von Einheit der Kirche (1873), czyli Nauka św. Cypriana o jedności Kościoła; Lessing über Toleranz (1883), czyli Lessing o tolerancji; Deutsche Bischöfe vor 100 Jahren und jetzt (1884), czyli Biskupi niemieccy sprzed 100 lat i dzisiaj; Clemens vom Rom und andere Legenden (1885), czyli Klemens Rzymski i inne legendy; Das neue römische Interdikt über alkatholische Kirchen und seine Anerkennung durch deutsche Staatsregierungen (1894), czyli Nowy interdikt rzymski na Kościoły Starokatolickie i ich uznanie przez niemieckie państwowe rządy; Von der Gültigkeit der anglikanischen Weihen (1895), czyli O ważności anglikańskich święceń. Dużo światła wreszcie na życie, indywidualność, a również poglądy bp. prof. Reinkensa rzucają wydane niedawno (1979 r.) we Wiedniu Listy pt. Joseph Hubert Reinkens: Briefe an seinen Bruder Wilhelm (1840—1873). Listy zebrał i opracował jezuita, Hermann Josef Sieben, a Wilhelm Reinkens, brat biskupa starokato-

lickiego Józefa Huberta, był również jezuitą (Bonner Beiträge zur Kirchengeschichte 10 (I—III)).

Reizm — (łac. res, dop. rei = rzecz, rzeczy) — to nazwa poglądu filozoficznego, sformułowanego przez Tadeusza Kotarbińskiego (ur. 1886, zm. 1981), polskiego filozofa, głoszącego iż istnieją jedynie rzeczy, konkrety stąd zwie się ten pogląd też konkretyzmem), nie istnieją jako byty konkretne: powszechniki, — uniwersalia, itp. (to są tylko nazwy — stąd z łac. nomen = imię, nazwa — nominalizm), zdaznienia, relacje, itd., itp.

Rej Mikołaj — (ur. 1505, zm. 1569) — pierwszy uznany pisarz polski, nazwany „ojcem polskiego piśmiennictwa”, wpięty gorący zwolennik — reformacji w ogóle, potem od ok. 1541 roku oficjalnie luteranin, a następnie kalwin. W swojej bogatej twórczości, której treść w dużej mierze dotyczy spraw równości i sprawiedliwości społecznej, wiele pozycji stanowią twory o treści religijnej, teologicznej, a są wśród nich również tłumaczenia. Z najważniejszych jego dzieł tu należy wymienić, ujmując je chronologicznie, następujące: Krótka rozprawa między... Panem, Wójtem i Plebanem (1543); Psalterz Dawidów (tłumaczenie; 1546); Postylla (1557); wierszowany Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego (1558); Zwierciadło (1567—68; z prozą napisanym Żywotem człowieka poczciwego).

Rekolekcje — (łac. recolligere = gromadzić, znowu zbierać; recollectio = wewnętrzne skupienie) — to w Kościołach Katolickich już tradycją ustalony zespół praktyk-ćwiczeń religijnych: słuchanie i rozważanie treści nauk, kazań, medytacji; uczestniczenie w nabożeństwach; odbycie spowiedzi św. i przyjęcie Komunii św. — w celu pogłębienia wewnętrznego skupienia poprzez oczyszczenie i moralne odro-

Z zagadnień etyki chrześcijańskiej

DZIEŃ PANA

Człowiek wierzący zawsze zdawał sobie sprawę, że wszystko, co ma, otrzymał w darze od Stwórcy i że za to nieustannie winien swemu Dobroczyńcy okazywać wdzięczność i miłość. Ale życie codzienne ze swoimi tysięcznymi troskami i zajęciami nie pozwala ciągle patrzeć w górę i zanosić należne Bogu dziękczynienia i hołdy. Bóg rozumiejący położenie swego rozumnego stworzenia, wychodzi naprzeciw ludzkości i proponuje ludziom optymalny dla naszej natury, powtarzający się rytmicznie co siedem dni, czas kultu. W trzecim przykazaniu Dekalogu powiada: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił!” Dla więszości chrześcijan dniem świętym, czyli dniem Pana Boga naszego, jest niedziela. Są też inne okresowe dni święte ustanowione przez Kościół. Jak sprawić, by te dni były na-

prawdę święte, czyli miłe Bogu? Trzeba w myśl ducha trzeciego przykazania oddać Panu należną za cały tydzień cześć, przez udział w kulcie i przez wstrzymanie się od ciężkich prac. Dziś omówimy obowiązki duchowe: za tydzień prawa pracy i odpoczynku.

Należy przede wszystkim pamiętać, że zakaz pracy w niedzielę i święta dany jest po to, by człowiek miał czas na oddanie kultu dla Pana Boga. Możemy w mowie i piśmie rozdzielać obowiązki świąteczne, ale faktycznie stanowią one nierozdzielny całość. O dniu świętym nie należy zaczynać myśleć dopiero wówczas, gdy nadejdzie. Trzeba się do niego przygotowywać przez cały roboczy tydzień, a zwłaszcza w przeddzień, by uporać się z tym wszystkim, co mogłoby nam przeszkodzić w należytych spędzeniu niedzieli. Żydzi święcący sobotę, uważali piątek za „czas przygotowania”. U nich dzień szabatu zaczynał się wieczorem dnia poprzedzającego i trwał do zmierzchu soboty. My zaczynamy dobę świąteczną o północy.

Najważniejszym obowiązkiem chrześcijanina w niedzielę i święta jest udział w publicznym kulcie. Dla katolików i prawosławnych jest nim Msza święta, dla ewangelików Liturgia Słowa. Wszyst-

kie wyznania chrześcijańskie domagają się od swoich wiernych, aby gromadząc się w świątyniach oddawali wspólnie uroczystą cześć Bogu. Nie wystarczy kult prywatny. Człowiek ze swej natury jest istotą społeczną. Bez rodziny i państwa, bez Kościoła i całego szeregu związków i stowarzyszeń nie czułby się dobrze. Należąc do najmniejszej rodziny kościelnej, jaką jest parafia, mamy zobowiązań w gronie współwyznawców stanąć wspólnie w świątyni i wspólnie złożyć Stwórcy hołd. Do udziału we Mszy świętej w niedziele i święta zobowiązani są wszyscy wierni, którzy ukończyli siódmy rok życia. Zwolnia jedynie od tego obowiązku choroba, niedołężność starca i konieczne obowiązki służbowe, takie jak opieka nad dzieckiem i chorym człowiekiem, praca w fabryce, transporcie itp. Dyspensowanie się odległością w dobie dobrych dróg i posiadania licznych pojazdów, jest po prostu grzesznym lenistwem. Nawet z oddalonej o kilkanaście kilometrów wioski można zorganizować przywóz wiernych na nabożeństwo furmankami traktorowymi czy konnymi. Tak właśnie robią gorliwi katolicy. Opieszałość w tym względzie doprowadza do całkowitego zubożenia religijnego. Tylko starcy i chorzy wywiązują się z obowiązku wspólnego kultu przez wysłuchanie nabożeństwa ra-

diowego. Dobry parafianin nie spóźnia się na wspólne modły i bierze aktywny udział we Mszy świętej przez zwracanie uwagi na to, co się dzieje na ołtarzu, wysłuchanie kazania, wspólny śpiew, a szczególnie jeśli tylko może, powinien przyjąć komunię świętą, która jednoczy nas z Chrystusem i jest źródłem sił nadprzyrodzonych.

Do innych duchowych obowiązków, czy raczej sposobów wykorzystania czasu świętego, należy lektura Pisma świętego, czasopism i książek religijnych. Rozmowy w gronie najbliższych i przyjaciół, wspólne spacerowanie i zabawy, które wpływają na ludzkiego ducha. Wszelkie formy rozrywek godziwych i szlachetnych, chociaż nie są wyrazem kultu, a mają na celu dobro duchowe człowieka, stanowią należytą metodę przeżycia niedzieli pod warunkiem, że nie zapomnieliśmy o obowiązku udziału w Ofierze mszalnej. Dzień Pański ma bowiem przynieść chwałę dla Boga, a równocześnie wszystkim dzieciom Bożym wielki duchowy pożytek. Właśnie niedziela i święta przypominają nam radosną prawdę, że chociaż jesteśmy mieszkańcami ziemi, zdani na wysiłek, cierpienia i śmierć, to jednak dziedzictwo nasze jest tam w domu naszego Ojca.

Ks. ALEKSANDER BIELEC

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (860)

dzenie swojego życia i w ten sposób udoskonalenie swojego życia ziemskiego i przygotowanie się do przejścia poprzez śmierć do wiecznego już szczęścia w życiu pozagrobowym. Wyróżnia się rekolekcje: 1° otwarte, publiczne, to znaczy takie, w których uczestniczy się w określonych dniach i godzinach (na ogół w Adwencie, szczególnie zaś w Wielkim Poście) w kościele lub kaplicy (rano, na ogół jednak raczej wieczorem, rzadziej przez cały dzień, czy przez kilka dni) bez przerywania swoich normalnych dziennych zajęć; 2° zamknięte, to znaczy takie, których uczestnicy przez okres ich trwania (na ogół 3 dni, albo niekiedy cały tydzień) mieszkają w domu rekolekcyjnym, w klasztorze, itp., i według ściśle ustalonego programu dnia przeżywają treści praktyk-ćwiczeń zgodnie z p. 1.; specjalnego rodzaju rekolekcje zamknięte odbywają się w ustalonych z góry okolicznościach, okresach roku kościelnego, itp., zakonnicy i zakonnice, kapłani, klerycy, ci ostatni również i przede wszystkim przed przyjmowaniem święceń, zwłaszcza kapłańskich, a w zakonach nadto przed składaniem przez ich członków — ślubów zakonnych; szczególnie ważne znaczenie mają i powinny mieć rekolekcje i to właśnie zamknięte, które odbywają biskupi elekcji przed przyjęciem sakry biskupiej; 3° Są ustalone ogólne schematy programu rekolekcji, wszelako jego uściślenie i ukierunkowanie zależy od rekolekcyjisty, który ich specyfikę ustala i ustalać powinien w zależności od ich uczestników, szczegółowego celu rekolekcji i na tej podstawie poza rekolekcjami, nazwijmy je ogólnymi, mogą one mieć charakter np. stanowy (np. rekolekcje dla matek, rekolekcje dla ojców; rekolekcje dla członków poszczególnych lub pokrewnych zawodów, itd.); 4° Mają też i mogą mieć miejsce zależnie od okoliczności, możliwości, okresu roku kościelnego, w większych czy w wielkich miastach i takich parafiach, również tzw. dni skupienia, albo dzień skupienia, które w swoim

programie podobne są do uwag wstępnych i p. 1., tylko czasowo inaczej ujęte.

Od rekolekcji należy odróżnić misje parafialne, które, mając podobny program jak rekolekcje w ogólnym znaczeniu, odbywane są nie, jak coroczne rekolekcje, ale co kilka czy nawet kilkanaście lat, i nie trwają, jak rekolekcje ogólne 3—4 dni, a na ogół, jak specjalne rekolekcje zamknięte, tydzień, lub nieraz i dłużej, ale oczywiście są też i powinny być tak programowo ujęte i przeprowadzone, aby nie kolidowały z wykonywaniem przez ich uczestników codziennych obowiązków, zwłaszcza natury społecznej i o charakterze publiczno-ekonomicznym.

Rekoncylacja — (łac. reconciliatio = przywrócenie do stanu pierwotnego, pojednanie) — w chrześcijańskim słownictwie teologicznym oznacza: 1° prawne, publiczne, ponowne przyjęcie do Kościoła (stosowano i stosuje się różne formy — w różnych Kościołach); 2° przez ponowne poświęcenie lub konsekrację sprofanowanych miejsc sprawowania kultu, naczyni liturgicznych konsekrowanych, poświęconych przedmiotów kultu, itp., nadanie im znowu charakteru sakralnego.

Rektor — (łac. rector = kierownik, przełożony) — to tytuł mający już długą przeszłość. W czasach cesarstwa rzymskiego (ok. I w. przed Chr., I—V w. po Chr.) tytułem tym obdarzano namiestników cesarskich, podległych prefektom lub egzarchom; z chwilą powstania czy w okresie powstania uniwersytetów (XII—XIV w.) tytuł ten mieli i mają ich kierownicy, zwierzchnicy, a później i współcześnie również innych wyższych uczelni, a także wyższych seminarów duchownych; w Kościele Rzymskokatolickim tytuł ten noszą też przełożeni domów zakonnych niektórych zakonów (np. u redemptorystów, jezuitów i inn.), a również

ŚLADAMI KRZYŻOWCÓW W POLSCE



Rekonstrukcja
krzyżackiego zamku
w Golubiu

Chociaż głoszona przez średniowieczne państwo i zakony duchowne idea krucjat dotarła na nasze ziemie dość wcześnie, Polacy nie kwapili się zbyt do udziału w wyprawach wojennych do Ziemi Świętej. Znana jest dobrze i niemal na kpinę zakrawa wymówka księcia Leszka Białego, który swą odmowę udziału w krucjacie tłumaczył... brakiem ulubionego piwa w Palestynie.

Oczywiście przyczyny tej niechęci były głębsze: trasa takiego przemarszu była na owe czasy niełatwa i ogromna, wiara nasza była jeszcze świeżej daty, w kraju zaś panowały stale niepokoje, sytuacja w okresie rozbitcia dzielnicowego była niepewna i możni woleli pilnować własnych spraw w kraju. Właściwie na pewno wiadomo tylko o wyprawie księcia Henryka Sandomierskiego w 1154 r. i o udziale rycerza Jakysa z Miechowa, który sprowadził do kraju zakon bożogrobców (miechowitów). Przypuszcza się, że w szeregach wojsk niemieckich i węgierskich brał w krucjacie udział książę pomorski Kazimierz II, syn Bolesława Krzywoustego — Władysław II Wygnaniec i być może Władysław Odonic.

Wygodnym wyjściem z tej kłopotliwej sytuacji była okoliczność, iż za wymagających nawrócenia siłą pogan uznano w międzyczasie także plemiona nadbałtyckie — zarówno pruskie jak i słowiańskie na terenie Niemiec, a wyprawy przeciwko nim miały charakter równoważny krucjatom do Palestyny. W taki sposób traktowano kampanie duńskich królów i książąt niemieckich przeciw zachodnim Słowianom i pogańskim Estom w XII i XIII wieku.

Popierane aktywnie przez cystersów hasło walki z poganami nadbałtyckimi nie ominęło i Polski. Ale głównym przeciwnikiem możnowładców i książąt polskich byli nie tylko Prusowie, lecz także plemiona Litwinów i Jaćwingów, napadających wschodnie pogranicze ziem polskich. Wiadomo doskonale, że było to motywem sprowadzenia przez Konrada Mazowieckiego w 1226 r. krzyżaków do ziemi chełmińskiej. Zanim jednak to nastąpiło, na ziemiach polskich próbowały zakorzenić się inne zakony rycerskie, krzyżaków zaś znano z terenu Dolnego Śląska, gdzie z Czech i Moraw sprowadził ich ks. Henryk Brodaty, uchodzący za protektora zachodnich zakonów rycerskich. Naśladowali go inni książęta polscy.

Najpierw Henryk Sandomierski sprowadził templariuszy, z którymi musiał nawiązać kontakt w Ziemi Świętej, i osadził ich w 1155 r. w Zagościu nad Nidą. Przybywający głównie z komturii niemieckich templariusze osiadali też w innych regionach. W połowie XIII w. Bolesław Wstydlawy sprowadził ich do Łukowa nad Krzną przeciw Jaćwingom, Władysław Odonic przekazał im szpital w Gnieźnie, a książę szczeciński Barnim I uposażył zakon szczególnie bogato, nadając mu w 1234 r. Dargomyśl, Moryń, ziemię bańską, gdzie powstała osada Tempelburg oraz Sławno i Stare Drawsko, gdzie wzniesli zamek Drahim. Od Przemysława wielkopolskiego otrzymali nad Notecią m.in. Koleczyno, Cemelno, Tempłów, Orle, Koźmino. Henryk Brodaty nadał im Małą Oleśnicę, stworzył ich komturę w Leśnicy, a potem drugą w Chwarszczanach na ziemi lubuskiej. Zbudowane przez nich kaplice zachowały się w Rurce, Chwarszczanach, kościoły m.in. w



Kościół pw. św. Jana Jerozolimskiego w Poznaniu

Swobnicy, Baniach, Zagościu, w Drawsku zaś zamek przejęty potem przez joanitów.

Po likwidacji zakonu templariuszy przez papieża, ich niemieckie posiadłości odziedziczyli joanicy — podobnie było w Polsce. Z kolei niektóre nadania tego zakonu przejęli później krzyżacy. Tak było z zamkiem w Skarszewach czy ze Starogardem Gdańskim, który jako gród otrzymali szpitalnicy św. Jana w 1198 r., a w parędziesiąt lat potem powstała tam nowa osada krzyżacka.

Budownictwo joanitów przetrwało głównie na zachodnich ziemiach Polski. Kościoły ich do dziś można oglądać we Wrocławiu, Strzegomiu, Kłodzku (fara) i w Poznaniu na Malcie, gdzie w 1170 r. sprowadził ich Mieszko Stary. Poznański kościół św. Jana Jerozolimskiego był pierwszą w Wielkopolsce budowlą ceglana, a z pobliskiej osady z siedzibą komandora (komtura) dotąd pozostała nazwa Komandorii. Na Pomorzu Szczecińskim szpitalnicy otrzymali m.in. Ulikowo, Suchań i Żukowo. Własne zamki wzniesli w Pęzinie, Kostrzyniu i Łagowie Lubuskim. Ten ostatni, zachowany wyjątkowo dobrze, aż do 1810 r. był siedzibą komturii, tak jak i dawny zamek Wedłów w Świdwinie, przejęty przez zakon występujący już wtedy pod nazwą kawalerów maltańskich. W Słońsku maltańscy mieli silny ośrodek gospodarczo-administracyjny. Kres ich obecności na ziemiach zachodnich położyła dopiero epoka napoleońska. Warto przypomnieć, że templariusze i joanicy brali udział w tragicznej bitwie z Tatarami pod Legnicą w armii ks. Henryka Pobożnego.

Mało znanym epizodem jest krótkotrwała obecność w Polsce rycerzy hiszpańskiego zakonu Calatrava. Jeden z książąt osadził ka-

latrawensów w Tymawie na Pomorzu Gdańskim, gdzie mieli swój zameczek. Dziś nie ma po nim ani śladu, a na jego miejscu stoi barokowy kościół. Rycerze Calatravy mieli na wschodzie wspomagać cystersów w ich działaniach misyjnych, ale było tu ich niewiele i zakonnicy woleli pomyśleć raczej o tworzeniu i rozwijaniu miejscowych zakonów.

Jednym z nich był polski zakon dobrzyńców czyli Pruskich Rycerzy Chrystusowych, założony przez Konrada Mazowieckiego w ziemi dobrzyńskiej w 1228 r. Nosili oni białe płaszcze z czerwonym mieczem i sześcioramienną gwiazdą. Dobrzyńcy przetrwali zresztą niedługo, weszli bowiem w konkurencję z silniejszymi krzyżakami i częściowo zostali przez nich wchłonięci. Resztką rycerzy dobrzyńskich wraz z wlk. mistrzem Brunonem znalazła w 1237 r. przystań w Drohiczynie nad Bugiem i tam padła ofiarą najazdu prusko-litewskiego. Ostatnia wzmianka o nich pochodzi z 1240 r.

W podobny sposób jak dobrzyńców krzyżacy wchłonęli w 1236 r. inflancki zakon kawalerów mieczowych, osłabiony wcześniej w walkach z Litwinami, choć zachował on i potem pewną odrębność z własnym mistrzem krajowym i został w XVI w. osobno zholdowany przez Polskę w osobie wlk. mistrza G. Kettlera.

Kiedy krzyżacy poczuli przybywać do Polski, mieli już znaczne posiadłości w Europie — nie tylko w Niemczech, lecz m.in. w Burgundii i Niderlandach. We wschodniej Europie próbowali sił najpierw w węgierskim Siedmiogrodzie, gdzie siedzibą ich stał się Kronstadt czyli Corona (dzis. Braszów w Rumunii) i skąd po zaledwie kilkunastu latach usunął ich król Andrzej II, gdy złożył mu przysięgę wierności, samowolnie oddając te ziemie w lenno papieżowi.

W naszym kraju zachowało się lepiej lub gorzej przeszło pół setki średniowiecznych warowni krzyżackich, głównie na terenach dawnego województwa gdańskiego, bydgoskiego, elbląskiego i olsztyńskiego. Przeważająca większość zatraciła swój pierwotny wygląd po przebudowach XVI—XIX wieku. Niektóre zostały zburzone (Barciany, Radyń Chełmiński, Toruń) lub rozebrane (Brodnica, Kwidzyń, Sztum), inne znajdują się w ruinie (Rogoźno, Bobrowniki, Szestno). Nieliczne doczekały się po wojnie częściowej rekonstrukcji (Działdowo, Przewmark). Większość pochodzi z drugiej połowy XIII i pierwszej połowy XIV stulecia. Zarówno sławny Malbork jak i pozostałe zamki krzyżackie są na naszych ziemiach szczególnym przykładem architektury obronnej zachodnich krzyżowców ocalałej w największej obfitości.

KRZYSZTOF GÓRSKI

POKŁON ZIEMI OJCZYSTEJ

Pokłon Ziemi Ojczystej
świętej
z dziada, pradziada,
nad szarą Wisłą ziemiom,
równinom
i sadom.

I wzgórzom tym dalekim,
zielonym,
jak nadzieje,
gdzie praojcowie nasi
poczęli
swoje dzieje.

Uczciwym ludziom
radość
w ukłonie świat niech złoży,
pomocną
w Bożym trudzie.
Niech się ten świat ukorzy!

Niech ujrzy to oddanie
bez reszty
polskiej ziemi.
Gdzież szukać ma godności,
czyż nie pomiędzy swemi?

Już wierzby mu zanuć
łagodną,
tęskną pieśnią,
że ziemia,

polska ziemia,
znaczona jest boleścią.

Świat cały się zaślucha,
zaduma
nad złym losem
i westchnie
tak głęboko,
jakby się spotkał
z ciosem...

Pod szorstką dłonią
serce
gorąco,
szybko bije.
To serce zwie się
Polską.
i ona ciągle żyje.

Jest,
była,
zawsze będzie,
jak żyzna, pszena ziemia.
Kraj zwykłych trosk codziennych:
Polska...
mówili, że jej nie ma.

MAŁGORZATA KAPIŃSKA







O POLSCE i POLAKACH

dokończenie ze str. 5

lijonów, ogolocoonego przez sąsiadów przyjaznych gorzej jak przez tatarski jassy z kilkudziesięciu tysięcy ludzi, ze wszystkich napastowanego stron, a we wszystkich bezbronnych granicach, wyzutego z przodków, sławy (...) w takowej tedy naszego narodu sytuacji nie wiem, czyli już z Cyceronem rozpaczając: „Bać się trzeba całe upadku i zguby całej Rzplitej (...)”

STANISŁAW KONARSKI,
1700—1773

Wzywany od Was, stawam na czele Waszym, Koledzy! Przyniosłem moje życie dla Was! Odwaga Wasza i Obywatelstwo są mi rękojmią pomyślności kochanej Ojczyzny. Bądźmy jednym ciałem z Obywatelami, łączmy się najściślej, łączmy ręce i sposoby wszystkich ziemi naszej mieszkańców. Zdrada nam broń wytrąciła z reki; niech cnota znowu tę broń podniesie, a wnet spadnie to ohydne jarzmo, w którym jęczymy. (...) Nie mniemajcie, abyście winni posłuszeństwo tej zwierzchności, pod którą jesteście. Rząd i magistratury przez Moskalów narzucone, czyż warte Waszego uszanowania? Narodowi i Ojczyźnie tylko wierność waszą winniście; Ona na Was wola o obronę, ja w Jej imieniu moje wam przesyłam rozkazy. Biorę z Wami, Kochani Koledzy, za hasło: Śmierć albo Zwycięstwo. Ufam Wam i temu Narodowi, który zginąć raczej postanowił, aniżeli dłużej jęczeć w haniebnym niewoli.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO,
1746—1817

Naród żądający niepodległości potrzeba koniecznie, aby ufał w swoje siły. Jeżeli nie ma tego czucia, jeżeli do utrzymania bytu swego nie idzie przez własne usiłowanie, ale przez obce wsparcie lub łaskę, można śmiało przepowiedzieć, że nie dojdzie ani szczęścia, ani cnoty, ani sławy. Możemy widzieć z historii, czy kraj którykolwiek, co poważamy jego pamięć, doszedł do stopnia wysokiego chwały z cudzą opieką? (...) Trzeba

wyznać, iż Polacy nie cierpią jarzma, mają entuzjazm do wolności i cnoty, ale wadą ich jest, iż jak są żywymi w zaczęciu śmiałych czynów, tak niestałymi w dokonaniu i słabiejcy w przeciwnościach. Nie dosyć jest na chęci do prawideł i sprawiedliwości, potrzeba jeszcze męstwa do ich utrzymania.

JÓZEF PAWLIKOWSKI
ok. 1768—1829

Oto jest społeczność polska! — społeczność narodu, który, nie zaprzeczam, iż o tyle jako patriotyzm wielki jest, o ile jako społeczeństwo jest żaden. (...) Jesteśmy żadnym społeczeństwem. Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym. Może powiesz mi kiedyś ludzie serdeczni za te prawdy, których istotę powtarzam lat około dwanaście, ale gdybym miał dziś na szyi powróż, to jeszcze gardłem przywartym chrypiałbym, że Polska jest ostatnie na globie społeczeństwo, a pierwszy na planecie naród.

CYPRIAN KAMIL NORWID,
1821—1883

I oto staje przed nami pytanie; czym jest szczęście Ojczyzny i w czym ono w życiu naszym ma się wyrazić. Odpowiedź na to pytanie bodaj jest nie mniej trudna, niż na pytanie, czym jest szczęście człowieka. Wiemy, jak jałowym jest dążenie do własnego szczęścia, które osiągają zwykle ci, co do niego dążą. Ale nie jest jałowym dążenie do szczęścia innych. Dlatego też nie jest jałowym dążenie do szczęścia Ojczyzny. Określić tego szczęścia słowami nie można tak samo, jak nie można przeznaczyć tajemnicy życia. Wszelako są dwa zasadnicze pragnienia, w które można ująć dążenia do szczęścia Ojczyzny: to zachowanie i podniesienie godności i rozkwit.

JÓZEF LUTOSŁAWSKI,
1863—1954

Siła narodu nie miarkuje się ani gromadą żołnierzy, ani kosztownością gmachów, ani blaskiem obrzędów, ani gorliwością za starymi obyczajami, ani smakiem ladajakich nowości; szukać jej trzeba w zagonach roli, pod strzechami wieśniaków, w talentach mieszkańców miast, w dzielach krosien i warsztatów, w toku pieniędzy i towarów, w edukacji młodzi, a chwala zawisła na życzeniu dobrze Ojczyźnie i umiejętności bronięcia się od niesłusznej napaści. Sto tysięcy pieńżnych kupców, drugie sto tysięcy przemysłnych rzemieślników, pięććroć sto tysięcy pracowitych i majątnych ziemianów, dostatkim oświeconych nauczycielów, a wszyscy kochający króla i Ojczyznę — nie sąż to wojska, co kraju strzegą? Ramiona, co go wspierają? Skarby, co bogacą?

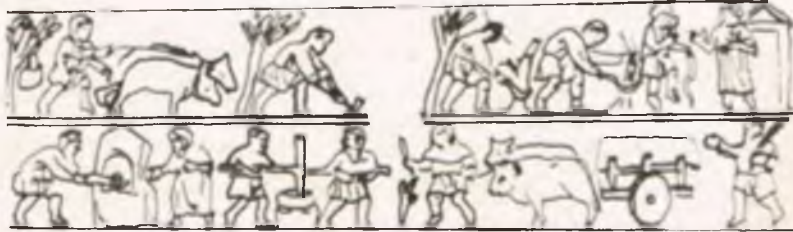
JACEK PRZYBYLSKI
1756—1819

Problem narodu to przede wszystkim problem świadomości. Powszechność konsensusu co do podstawowych treści świadomości narodowej hamują lub uniemożliwiają czynniki przeciwstawiające sobie różne grupy w obrębie narodu. Socjalizm nie likwiduje istnienia świadomości narodowej, różnice istnieją, istnieć muszą i istnieć powinny. Zgoda narodowa także w szczegółach prowadzi do statystycznej martwoży, różnica poglądów jest nieodzownym warunkiem dynamiki rozwoju.

KONSTANTY GRZYBOWSKI
1901—1970

Dzieje cywilizacji (24)

data, okres	lokalizacja geograficzna, polityczna	fakty, wydarzenia
644—656	Świat islamski	Rządy kalifa Osmana, za którego czasów następuje ustalenie ostatecznego, do dziś obowiązującego tekstu <i>Koranu</i> , świętego pisma muzułmanów zawierającego całość objawienia Mahometa, spisanych wg ustnych przekazów po jego śmierci. Obok Koranu pojawia się <i>Sunna</i> : ustne relacje o życiu i nauce proroka.
poł. VII w.	Europa Zachodnia	Wzrost władzy majordomów — najwyższych dostojników dworskich w państwie frankońskim. 656 — nieudany bunt Grimoalca, majordoma Austrazji (wschodniej dzielnicy państwa na obu brzegach Renu).
650	Świat islamski	Zamordowanie Otmara; Ali (zięć Mahometa) kalifem. Za jego panowania — rozłam w kalifacie (charydżyci, szyici, wyznawcy <i>Sunny</i>).
660—668	Chiny	Chińczycy dokonują podboju większej części Korci.
668	Japonia	Powstanie uniwersytetu w Japonii.
679	Europa	Wtargnięcie protobułgarów na Bałkany (Dobruđa).
687	Europa Zachodnia	Pepin z Heristalu (635—724) majordomem wszystkich dzielnic frankijskich. Faktyczny władca państwa Merowingów.
704	Irlandia	Kler irlandzki przyjmuje liturgię rzymską.
708	Japonia	Ustanowienie pierwszej stałej stolicy Japonii. Wybitcie pierwszej miedzianej monety.
711	Plw. Iberyjski — świat islamski	Łądowanie Saracenów w Hiszpanii. Za kalifatu Omajadów Saraceni (nazwa oznaczająca w średniowieczu Arabów, potem wszystkich muzułmanów) podbijają bizantyjską Afrykę Północną, rozpoczynają podbój Hiszpanii, skąd po przekroczeniu Pirenejów wkroczą w 719 r. do Galii.
751	Europa Zachodnia — Galia	Karol Młot (nieprawny syn Pepina z Heristalu) utrwała swe rządy jako majordomus w państwie Merowingów.
726	Bizancjum	Dekret obrazoburczy cesarza Leona III, który w trosce o czystość chrystianizmu zaczął zwalczanie kultu obrazów świętych, jako przejaw odradzającego się pogaństwa. Początek długotrwałych sporów religijnych na Wschodzie.
732	Galia	Pod Poitiers zwycięstwo Karola Młota nad Saracenami, którzy przez Pireneje wkroczyli do Galii i zaatakowali Akwitanię. Zahamowanie ekspansji arabskiej w Galii.
750	Świat islamski	Koniec kalifatu Omajadów, obalonych przez Abul-Abbasą z rodu proroka. Za kalifatu Abbasydów nastąpiło zrównanie w prawach wszystkich wyznawców islamu, pozbawienie Arabów ich uprzywilejowanego stanowiska w państwie odąd nie arabskim, a muzułmańskim.
751	Galia	Detronizacja dynastii Merowingów. Pepin Krótki (syn Karola Młota) królem Franków, dzięki orzeczeniu papieża Zachariusza, poszukującego sprzymierzeńców. 754 — sakra królewska rodziny Pepina Krótkiego i faktyczne wprowadzenie dziedziczności tronu.
755	Azja	Wyparcie Chińczyków z Korei.
768—816	Europa Zachodnia państwo Franków	Rządy Karola zwanego Wielkim, syna Pepina Krótkiego, najpierw króla Franków, od 800 cesarza Zachodu. Karol Wielki podbił Sasów, zgarnął królestwo Longobardów, podbił Bawarię. Umocnił jedność państwa, zorganizował administrację, ujedynolcił prawodawstwo. Usankcjonowaniem jego osiągnięć — koronacja na cesarza, dokonana przez papieża Leona III w Rzymie. Za czasów Karola Wielkiego — okres ożywienia kulturalnego („renesans karoliński”), powstanie licznych szkół, reforma pisma łacińskiego. Karol Wielki uważany jest za jedną z najwybitniejszych postaci historycznych.



Uprawa zboża i wypiek chleba

Wszyscy ludzie, jako istoty jednej i tejże samej natury, równe mają prawa i równe powinności; wszyscy są braćmi, wszyscy dziećmi jednego ojca — Boga, wszyscy członkami jednej rodziny — ludzkości. Każdy człowiek ma prawo szukać własnego szczęścia, wszystkie potrzeby fizyczne, umysłowe i moralne zaspokajać, wszystkie władze rozwijać i doskonalić, a w miarę pracy i zdolności we wszystkich korzyściach życia społecznego równy mieć udział. (...) Przywilej, jakimkolwiek nazwiskiem okryty, jest wyłamaniem się spod ogólnych powinności lub przywłaszczeniem jakiegoś prawa, jest zatem negacją równości, zwałceniem natury. Bez równości nie ma wolności, bo tam, gdzie jednym nie wolno czynić tego, co drudzy czynić mogą, musi być z jednej strony niewola, z drugiej despotyzm, a w całym społeczeństwie anarchia. (...) Wszystko dla ludu, przez lud — oto najogólniejsza zasada demokracji, cel i formę zarazem obejmująca. Wszystko dla ludu, przez lud — jest celem, wszystko przez lud, przez wszystkich — jest formą.

MANIFEST TOWARZYSTWA DEMOKRATYCZNEGO POLSKIEGO

1836

Niepodległość polityczna Polaków jest wielkim skarbem jego obywateli. Terazniejsze pokolenie Polaków najsilniej może odczuwać radość z posiadania tego skarbu, bo jedni jeszcze pamiętają czasy niewoli, w której mrokach wyrosli, inni co młodsi z opowiadań dowiadują się o hańbie polskiego poddaństwa. Ale jeśli czujemy wielką radość z odzyskania wolności, to zarazem nie mniejsza nas ogarnia obawa, by powtórnie nie utracić tego skarbu, by znowuż nie popaść w niewolę.

„WICI”,
1937

Dobór mądrej i stosownej taktyki jest dla każdej partii świadectwem jej dojrzałości. Sił ludu marnować nie można złą taktyką, bo ten lud nie płaci swoich klęsk pieniędzmi, jak kapitaliści, ale głodem i śmiercią swoją, jedynym skarbem, jaki lud posiada — swoją egzystencją. (...) Kto lud kocha, kto jego krew przelaną za wolność chce zrobić prawdziwym tej wolności cementem, ten nie zawaha się przed wytknięciem błędu, ten przed manowcami przestrzegać będzie, choćby to komu przykrem było i nie na rękę.

IGNACY DASZYŃSKI.
1866—1936

Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na naszej ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary. (...) Braterstwo ludzi uświęcone wspólnie przelaną krwią w walce z niemiecką agresją jeszcze bardziej pogłębi przyjaźń i utrwali sojusze z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Polska dążyć będzie do zachowania tradycyjnej przyjaźni i sojuszu z oddrodzoną Francją, jak również do współpracy z wszystkimi demokratycznymi państwami świata. Polska polityka zagraniczna będzie polityką demokratyczną i opartą na zasadach zbiorowego bezpieczeństwa (...) Rodacy! Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, przystępując do odbudowy państwowości polskiej, deklaruje uroczyste przywrócenie wszystkim swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, prasy sumienia.

MANIFEST POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO,

1944

HEMINGWAY, CZŁOWIEK i MORZE...

Z rozlicznych fotografii zamieszczanych w monografiach czy szkicach traktujących o życiu i dziele Ernesta Hemingwaya, najbardziej zwraca uwagę ta, na której widnieje smagła, otwarta twarz pisarza. Twarz o skupionym i czujnym spojrzeniu myśliwego, przemierzającego nieznaną i bezkresne obszary świata. Twarz homerycznego bohatera, któremu dane było zgłębić życie.

Ernest Hemingway — żołnierz i dziennikarz, poeta i prozaik, myśliwy i żeglarz. Jeden z tych, którzy chcieli i umieli żyć od początku do końca. Bez fałszu, zbędnej kokieterii i mistyfikacji — szczerze. Odrzucając wszelką sztuczność i ekstrawagancję wybrał więc Hemingway drogę prostą i jakże jednocześnie trudną — drogę trapera życia, który zespolony ze światem istnieje, przyjmując jego czyste, acz surowe prawa.

Wiele z nich poznał już w dzieciństwie, kiedy jako kilkuletni chłopiec chłonał piękno i prawdę dziewiczego lasu, ciągnącego się pasem zieleni wzdłuż jeziora Wallon w północnym Michigan. Las wyjaśnił mu istotę walki o byt, będącą przeznaczeniem wszystkiego, co żywe. Niespełna dziesięcioletni wtedy Ernest zrozumiał to dobrze, będąc kiedyś świadkiem brutalnej sceny pożerania jaszczurki przez znacznie mniejszego od niej węża. Bez względu, a przecież jakże sprawiedliwe w swej treści prawa przyrody objawiły się tu nagle w pięknej i nieskażonej formie, w całej harmonii i dyscyplinie. Kto wie, na ile ten bląd na pozór fakt miał wpływ na ukształtowanie się silnej osobowości Hemingwaya. Faktem jest, że okoliczne lasy i koczujący w nich Indianie, stały się ucieczką od grożącej na co dzień gry na wiolonczeli, do której tak uparcie zmuszała go matka. (Miała bowiem dobre przygotowanie muzyczne, co przed zamążpójściem pozwoliło jej występować w nowojorskiej Madison Square Garden). Ale Ernest nie był stworzony na wiolonczelistę. „Grałem na niej gorzej, niż ktokolwiek na świecie” — mawiał. Nie czuł też powołania do chóralnego śpiewu w żadnym z chicagowskich kościołów. Toteż, kiedy matka, Grace, nakazywała godziny ćwiczeń na „nieznośnym” instrumencie, najczęściej służyły mu one do przemyśleń. Po latach powie o tym żartobliwie: „Część swojego sukcesu zawdzięczam godzinom, kiedy byłem sam w pokoju do gry i uważano, że ćwiczę. A ja w tym czasie myślałem o jakichś swoich sprawach, grając w kółko «Oto nadchodzi lasica»”.

W przeciwieństwie do matki, ojciec Hemingwaya był człowiekiem łagodnym, delikatnym i uległym, toteż w wielu przypadkach podporządkowywał się żonie, chcąc w ten sposób przynajmniej częściowo zrekompensować jej przekreśloną przez mariaż karierę wokalną. Pracując jako lekarz, skądinąd ceniony i znany, Clarence Hemingway nie wymagał zbyt wiele od życia, gotów prowadzić raczej skromny żywot. Poza medycyną kochał przyrodę, pasjonowało go kolekcjonerstwo, szczególnie świadczące o kulturze i obyczajach okolicznych Indian. Być może ta właśnie pasja ojca, a może pierwsza wyprawa z nim na ryby i polowanie, zaszczepiły u dorastającego Hemingwaya ciekawość świata i ludzi, przekształcając się z biegiem lat w niepokój i potrzebę ciągłej przygody. To nieprzechodzenie obok życia, wynikające z pełnego w nim uczestnictwa, nieczekanie



na jutro, a pełne i świadome przeżycie teraz, znajduje trwały ślad w twórczości pisarza. Właśnie ono wyznacza podstawę jego filozofii i stylu. Filozofii, którą określa jednoznacznie Robert Jordan w powieści „Komu bije dzwon”. Masz »teraz«, a »teraz« jest całym twoim życiem. Nie ma nic poza »teraz«. Z pewnością nie ma »wczoraj«, nie ma też »jutra«. Nie jest to wyłącznie motto do twórczości Hemingwaya. Jest to także motto do jego życia. Pisarz i dzieło tworzą tu po prostu Jedno.

Każde przeżycie, każde doświadczenie zostawia trwałe i wyraziste piętno w tej twórczości. Nie sposób bowiem oddzielić życia pisarza od jego dzieła. Każda z tych wartości stanowi dla siebie swoiste uzupełnienie, będąc jednocześnie dziełem skończonym. Na ile zatem Nick Adams, bohater opowiadania „Gdy będziemy zasypiali” jest postacią autonomiczną? Na ile żyje własnym życiem? Te pytania można postawić wobec całej twórczości pisarza. Tak, czy inaczej, Nick Adams był tylko zapowiedzią, dopiero później nastąpiła kontynuacja losów bohatera, przemian, jakie dokonywały się w jego życiu, ale także w nim samym. Była tą kontynuacją także dalsza twórczość pisarza, mocno zasadzająca się na jego bogatym i pełnym życiu.

Polowania z ojcem, wędkarskie eskapady powrócą niejednokrotnie, gdy jako dorosły już człowiek zasiądzie do pisania swego wielkiego dzieła. W jednym z opowiadań „Ojciec i synowie” przybliży postać ojca we wspomnieniach Nicka Adamsa. W kilkanaście lat później za jego pośrednictwem przekaze także część prawdy o sobie. Być może właśnie ten tom opowiadań jest kluczem do całej twórczości Hemingwaya, w której tak silnie wyraża się konieczność i nieuchronność obcowania człowieka z przyrodą. Konieczność oczyszczająca i przywracająca jednostkę życiu.

Wartość i cenę tego życia znał Hemingway dobrze. Uświadomił ją sobie w czasie I-ej wojny światowej, będąc ciężko rannym na froncie włoskim. Miał wtedy dziewiętnaście lat. „Kiedy się idzie na wojnę jako chłopczek, ovladnięty jesteś wielkim złudzeniem nieśmiertelności. Innych zabijają, ale ciebie nie. Potem, kiedy po raz pierwszy zostaniesz ciężko ranny, złudzenie to znika i zaczynasz rozumieć, że może się to przytrafić i tobie.” Czyż można zrozumieć więcej?

Może właśnie dlatego bohater „Pożegnania z bronią”, Frederic Henry dezertuje z frontu do Szwajcarii, wybierając zamiast heroizmu miłość. Instynkt życia i zwykły rozsądek nakazują mu odejść od wojskowego obowiązku. Porzucić go dla czysto ludzkich wartości.

Zaprzeczeniem takiej postawy jest Robert Jordan z „Komu bije dzwon”. Świadomość walki i wynikających z niej konsekwencji nie jest w stanie go już zatrzymać. Walka wypełnia mu życie, i nawet miłość nie może jej przesłonić. Walka o ideały, a jednocześnie walka z przybierającą pustką, jaką przysporzyła przeszłość, każe mu wysadzić pobliski most. I jeśli nawet Jordan ginie w akcji, śmiertelnie raniony przez faszystów, to przecież sam fakt podjęcia decyzji pozwala mu na nowo odnaleźć własne człowieczeństwo. Wypełnić dotychczasową pustkę.

Te diametralnie różne postawy niewątpliwie muszą zastanawiać. Oto nagle bohater Hemingwaya staje się niejednoznaczny. Słaby, i jednocześnie silny — a jednak zawsze dokonujący świadomego wyboru. Bo Robert Jordan to jakby inkarnacja Nicka Adamsa i Frederica Henry’ego. Ci trzej ludzie tworzą jakby jeden portret ludzki, w którym jest miejsce na wahanie i odwagę, ale także na nieustającą, na nowo podejmowaną próbę określenia siebie wśród ludzi. W myśl słów, że „samotny człowiek nie ma sensu”. Jednocześnie w imię tej próby dokonuje się poszukiwanie podstawowych wartości, które Hemingwayowski bohater odnajduje w poznawaniu świata, w kontemplacji elementarnych zjawisk przyrody, w poznawaniu samego siebie. To właśnie przyroda przywraca człowieka życiu, a jej niezakłamanie prawa pozwalają widzieć świat lepszym; rehabilitują go.

Na tle wszechpotężnych sił przyrody człowiek prowadzi swą jedyną walkę o byt. Jest nią samo życie, a w nim człowiek skazany jest na klęskę. Człowiek przegrywa walkę z życiem. Nawet przewyciężenie własnej słabości nie może tu niczego zmienić. Człowiek musi przegrać, ulec przeznaczeniu, prawa natury same dyktują jego starość i śmierć. Ale świadomość przegranej nie musi, nie powinna oznaczać rezygnacji. Biernego oczekiwania. Dlatego stary rybak wypłynął na morze w poszukiwaniu wielkiej ryby, pokonując strach i własną niemoc.

W „Starym człowieku i morzu” postawił Hemingway na ideał heroizmu — pomimo nieuchronności klęski. Czy jednak na pewno klęski? Gdzieś przecież musi być granica między klęską fizyczną a jednoczesnym moralnym zwycięstwem. Ale jeśli nawet jej nie ma, to i tak piękna i godna walka nobilituje życie, czyniąc je nie zmarnowanym.

Zdumiewa ta głęboka i jakże ludzka mądrość. Mądrość, którą zrodziło życie, ale też i świadomy wybór reporterskiego i żołnierskiego trudu na wszystkich frontach walki o człowieczeństwo. Nie tylko w czasie wojny. Dni pokoju wypełniała mu bowiem penetracja nieprzetartych szlaków, a wraz z nim nowych dróg do innych, nie znanych ludzi. Potrzeba pisania była zaś tak wielka, że stała się nieodłączną częścią jego „ja”. „Praca to najważniejsze w życiu” — powiedział do jednego z dziennikarzy. „Ja nie mogę nie pisać. Pisanie dla mnie to więcej niż jedzenie i picie...”

W 1954 roku za „Starego człowieka i morze” otrzymał nagrodę Nobla. „Każdy prawdziwy pisarz dąży do osiągnięcia czegoś nowego, czego nie osiągnął nikt inny” — tymi słowami określił swe zadanie. „Jest to prawie niewykonalne (...), ale czasem któremuś się udaje”. Jemu się udało, ale nie chciał na tym poprzestać. „Pisarz współczesny musi odchodzić dalej, dokąd może nikt nie dojdzie i gdzie nikt mu nie pomoże.”

W kilka lat potem wiedział, że nie pójdzie już dalej. Choroba i depresja psychiczna przekreśliły szansę dalszej twórczości — przekreśliły szansę Jego życia. „Ja nie mogę nie pisać” — mówił.

Być może dlatego rankiem, 2 lipca 1961 roku nacisnął na spust ulubionej myśliwskiej strzelby... Zupełnie tak, jakby chciał powiedzieć:

„Człowiek nie jest stworzony do klęski. Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać”.

ELŻBIETA DOMAŃSKA

— dzieciom

Działo się to tuż przed wybuchem powstania warszawskiego, w czerwcu czy lipcu 1944 r. — dokładnie nie pamiętam. Dzień był duszny, chmurny. Człowiek przesądny mógłby powiedzieć, że w powietrzu od rana czaiło się coś niedobrego.

Żandarmi przychycili nasz pociąg na małej stacji koło Częstochowy, a raczej jeszcze przed wjazdem na stację — w gołym polu pod sygnałem. Było ich kilkunastu pod dowództwem czarnego esesmana z psem. Zgodnie ze swoim zwyczajem zaszli nas od dwóch stron i w jednej chwili wypełnili cały wagon przerażeniem, szczekliwym hałasem i nerwowym pośpiechem. Pobladli pasażerowie podawali dokumenty do kontroli, starając się wytrzymać bez drżenia spojrzenia esesmana. Bali się wszyscy. W owych czasach nie było niewinnych. Po ostatnich klęskach na froncie hitlerowcy po prostu się wściekli i każda najgłupsza obława mogła się skończyć katastrofą.

Ta właśnie skończyła się katastrofą.

Kiedy dwie partie kontrolujących zbliżyły się już ku sobie, w końcu korytarza wybuchnął wrzask. To jeden z żandarmów, pozostawionych przy drzwiach, wszedł do ubikacji i znalazł tam ukryty automat.

Wiadomo, czym groziło wtedy znalezienie w pociągu ukrytej broni. Hitlerowców ogarnął szal. Wrzeszcząc i tłukąc na osłep kolbami, wyrzucali nas z pociągu. Pomagał im spuszczone z kańczuga * pies — czarna bestia, kłusująca milczkiem i nienawistnie.

Po opróżnieniu wagonu ustawiono nas w dwuszeregu przed pociągiem. Naprzeciw, w odległości kilkunastu kroków, stanął esesman z psem. Słowa oficera przekładał na polski żandarm Ślązak. Biły w nas jak kamienie. „Ten od automatu ma się zaraz przyznać. Inaczej za pięć minut co piąty z polskiej bandy będzie rozstrzelany”.

Esesman wyciągnął spokojnie rękę z zegarkiem i obwiodł nas powoli białym, nieruchomym spojrzeniem.



Chłopiec z pociągu

Wiercie, że było to najstraszniejsze pięć minut, jakie przeżyłem. Odmierzaliśmy je biciem serca, które rozrosło się w piersiach i ciążyło jak bryła lodu.

Do automatu nie przyznał się nikt.

Na krótkie warknięcie esesmana dopadli nas żandarmi i uderzeniami luf zaczęli odliczać co piątego. Starzec z siwą brodą, którego odliczono pierwszego, że wzruszenia osłabł. Inni przyjmowali wyrok w milczącym odrętwieniu. Jakiś młody szczupły człowiek w binoklach zaczął głośno, rozpaczliwie płakać.

Wtedy właśnie wystąpił ten chłopiec.

Był to jeszcze zupełnie młody szpic. Miał piętnaście, a może szesnaście lat — ale nie wyglądał nawet na tyle.

Dziś nie potrafiłbym już opisać dokładnie jego wyglądu. Pamiętam tylko, że w jego drobnej, dziecięcej sylwetce było coś szczególnie ujmującego — coś, co cechuje zazwyczaj chłopców bardzo nerwowych i bardzo nieśmiałych. A przecież zdobył się na śmiałość, kiedy my — dorośli, silni mężczyźni drżeliśmy ze strachu.

Ludzie tak byli zajęci procedurą odliczania, że początkowo nie wszyscy dostrzegli jego wystąpienie. Dopiero kiedy podszedł do oficera, zapadła zadyszana cisza. W tej chwili chłopiec powiedział głośno i wyraźnie:

— Automat jest mój. Ja go wiozłem.

Żandarmi natychmiast skoczyli ku chłopcu i na chwilę zakryli go przed naszym wzrokiem. Dostrzegłem tylko, że esesman pochylił się i odpiął kańczug od obroży psa. Nastąpiły dwa straszne ciosy. Chłopiec upadł, lecz zaraz szybko się podniósł. Chwiał się na nogach. Rękami zasłaniał twarz. Potem zabrali się do niego żandarmi.

O Boże, jak bardzo kochał się wtedy tego chłopca! Jego postępek przywrócił nam całą utraconą odwagę. Byliśmy znou mężczyznomi. Jestem przekonany, że w owej chwili każdy bez wahania oddałby za niego życie.

Kiedy myśleliśmy, że nic już nie uchroni go od zguby — zelektryzował nas nagle przeraźliwy okrzyk: — Herr Sturmführer! * Herr Sturmführer!

Od tyłu pociągu biegła w naszą stronę grupa podnieconych ludzi. Trzech konduktorów wlokło za sobą opierającego się bahnschutz. Bahnschutz był w rozpiętym mundurze, zupełnie pijany. Wyrwał się, wierzał i belkotał coś nieprzytomnie.

W chwilę potem drżący i błądy jak śmierć starszy konduktor salutując składał po niemiecku meldunek oficerowi.

Nie mogliśmy zrozumieć słów, ale od razu domyśleliśmy się wszystkiego. To ten bahnschutz — to pijane zwierzę — zostawił swój automat

w ustępie polskiego wagonu. Schronił się tam zapewne w obawie przed partyzantami, a później — spiwszy się zupełnie — wrócił spać do niemieckiej części pociągu. Konduktorzy okazali się porządnymi, odważnymi ludźmi. Wiadomo zresztą, jak obsługa pociągów nienawidziła panoszących się bahnschutzów.

Niemcy zupełnie zbaranieli. Dla nas był to błogosławiony ratunek, ale oni tę kaszę musieli jakoś zjeść. Esesman przez chwilę ważył w sobie decyzję, potem — krzywiąc twarz w uśmiechu — podszedł do chłopca, wyprężył się na baczność, zasalutował i wyciągnął do niego rękę. Ale rycerski gest zawisł w powietrzu. Chłopiec odwrócił się od hitlerowca i z twarzą zalaną krwią, macając przed sobą jak ślepiec, powłókił się w stronę pociągu.

Szczekliwy rozkaz zagnał nas z powrotem do wagonu. Tym razem nie trzeba było nam pomagać ani popędzać.

Dopiero kiedy pociąg ruszył spod fatalnego sygnału, zajęliśmy się chłopcem. Leżał na ławce z zamkniętymi oczami, a wyglądał tak, że strach było na niego patrzeć. Kiedy kobiety starły mu krew z twarzy chustkami zmoczonymi w occie, dorwaliśmy się do niego my i poczęliśmy wołać jeden przez drugiego:

— Chłopcze, dlaczego ty to uczynił? Po coś się przyznał? Przecież nie miałeś z tym nic wspólnego!

Wtedy on spojrzął na nas przejmującym wzrokiem i z trudem poruszając rozciętymi wargami, powiedział jakimś śmiesznie dziecięcym, opuchłym głosem:

— Ja mogłem, bo nie należą do organizacji. Nikogo bym nie wyspał.

I jakby zwalając z siebie straszny wstyd, co gniótł go od dawna, dodał ciszej:

— Nie należę do organizacji, bo szkopy rozwalili mi już dwóch braci. Więc musiałem przysiąc mamusi, że nie będę się narażał.

MARIAN BRANDYS

* kańczug — bicz rzemienny na krótkim kijku.

* Sturmführer — stopień w hitlerowskich oddziałach SS

DZIECKO W PRZYJAŹNI Z PRZYRODĄ

Jeszcze nie tak dawno — za czasów mojego dzieciństwa — typowe miasto to były rzędy wąskich ulic ciasno zabudowanych kilkupiętrowymi domami. Do dna głębokich podwórek nieraz nawet nie dochodziło słońce, często nie było na nich ani skrawka trawy, tylko twardy bruk. Dla dzieci rosnących w tych domach światem przyrody były na co dzień doniczki z kwiatami stojące na oknie. Wyprawa do parku czy poza miasto była uroczystością.

Dziś architekci inaczej planują nowe dzielnice. Przyroda i przestrzeń mają stać się częścią krajobrazu miasta... Przed oknami nowych domów są zieleńce, wzdłuż ulic trawniki, na skwerach — dekoracyjne krzewy. Nie można się nimi opiekować tak, jak kwiatami we własnym domu, nie można ich siać, sadzić i pielęgnować, jak się pielęgnuje rośliny we własnym ogródku, ale nawet w mieście można i trzeba uczyć dzieci rozumnej przyjaźni z przyrodą i życzliwego zainteresowania życiem roślin. Przede wszystkim jednak powinniśmy nauczyć dzieci, że trawa, kwiaty i krzewy są w mieście wspólne, przeznaczone dla wszystkich i dlatego nie wolno ich niszczyć, deptać, zrywać ani łamać.

We współczesnych miastach coraz więcej jest zieleni, drzew i kwiatów, lecz coraz mniej już — zwierząt. Dawniej wśród brudnych, ciasno stłoczonych kamienic, po wąskich ulicach przejeżdżały ciężkie wozy, turkotały dorożki. Już o świcie za oknami słychać było rytmiczny stukot końskich kopyt. Wówczas jeszcze koń był ulubionym „bohaterem” wszystkich chłopców. A poza tym, zanim miasta rozrosły się na dzisiejszą skalę, nawet z tych stłoczonych dzielnic robotniczych było stosunkowo blisko do wsi, gdzie dzieciaki poznawały psy, koty, krowy, świnie i kozy.

Teraz w miastach są wprawdzie zieleńce i parki, ulice są szersze, często obsadzone drzewami lub z jasnym pasem trawy, ale w ich perspektywie nie widać ani lasu, ani pól, tylko wciąż domy i domy. Na jezdniach panują samochody, tramwaje, skutery. Ciężką pracę pociągowego konia, jak wiele ciężkich prac zastępują coraz częściej nowoczesne maszyny.

Dziecko miejskie żyje więc w świecie maszyn, kontakt z zwierzętami jest ograniczony.

Zna często tylko z widzenia psy i koty, widuje czasem na ulicy konia. Jeśli nie było na wsi, mogło nigdy nie widzieć żywej krowy, świnie czy kozy.

Życie dziecka staje się więc niepełne, uboższe, nie tylko w sferze intelektualnej, ale przede wszystkim w sferze uczuciowej.



Przyjaźń ze zwierzęciem daje dziecku wiele prostej spontanicznej radości i bywa źródłem wielu głębszych przeżyć. Jednocześnie przyjaźń ze zwierzętami pomaga w zwalczaniu egoizmu, uczy obowiązkowości, cierpliwości i dobroci.

W warunkach życia miejskiego nie zawsze możemy trzymać zwierzęta w domu. I jeśli dziecko na wszelkie sposoby stara się nas namówić na domową hodowlę — musimy z całą odpowiedzialnością i rozwagą rozstrzygnąć sprawę. Wiemy przecież, że zwierzę trzymane w nieodpowiednich warunkach, pozbawione opieki przyniesie zamiast korzyści wychowawczych jeszcze większe zło i szkody. Jeśli nie mamy sił i czasu, by serdecznie zająć się czworonożnym „domownikiem”, jeśli nie jesteśmy pewni, że potrafimy uchronić go przed nadmierną natarczywością lub złośliwym dręczeniem ze strony własnych i cudzych dzieci — lepiej nie brać na siebie tej odpowiedzialności.

Gdy jednak bardzo nam zależy na zapoznaniu dziecka ze zwierzętami, to poza możliwościami, jakie stwarza wyjazd w lecie na wieś — można by czasem znaleźć pewne formy zastępcze: regularne wizyty u cici, która hoduje koty, wyprowadzanie psa sąsiadów na spacer, przechowanie ulubieńca przyjaciół w czasie ich nieobecności, itp.

Niezależnie jednak od tego, czy i w jakiej formie będziemy organizować kontakt dzieci ze zwierzętami, musimy dzieci tak wychowywać, by rozumiały, że zwierzę jest żywą i czującą istotą, która cieszy się lub cierpi, której nie wolno sprawiać bólu, ani umyślnie dręczyć.

Jeśli nawet dorośli odbierają zwierzętom życie — dzieci też o tym muszą wiedzieć. O tej sprawie pisał prof. Tadeusz Kotarbiński w „Życiu Warszawy”

(22—23.I.1961 r.): „Konieczności wychowawcze zmuszają do jasnego postawienia sprawy. Trudno, człowiek jest istotą wszytkożerną. W tym celu musi zabijać żywe stwory. Co więcej, nie może on pozwolić na rozplód niepożądanego zwierząt gospodarczych i to go zmusza do likwidacji zbędnego, niepożądanego przychowku. Ale co innego jest odbieranie życia zwierzęciu, co innego — znęcanie się nad nim, zadawanie mu cierpień niepotrzebnych, a tym bardziej szukanie w tym wstrętnej satysfakcji”.

Ingerencja człowieka w świat zwierząt powinna być przedstawiona i dzieciom. Ale ingerencja mądra, humanitarna, pozbawiona cech sadystycznych. Nie ma ona nic wspólnego z barbarzyńskimi metodami pozbawienia życia psa, kota czy innego zwierzęcia, o czym często donosi prasa, radio, telewizja. Przykłady można pomnożyć! Niestety, to wszystko widzą dzieci, które jeszcze nie pojmują jak wstrętne jest wszelkie znęcanie się, a już na pewno istoty silniejszej nad słabszą i bezbronną.

Dzieci patrzą więc na to, co prof. Kotarbiński słusznie nazwał „szkołą zimnego draństwa” i bezmyślnie naśladowują.

Niestety, niektórzy rodzice lekceważą objawy okrucieństwa wobec zwierząt. Nie jest to sprawa błaha. Brak wrażliwości na cudze cierpienie — nawet gdy cieroi „tylko” zwierzę — dowodzi, że dziecko albo jeszcze zupełnie nie rozumie skutków swojego działania, albo też zadaje ból świadomie, z „zimną krwią”. A to jest już zjawisko wychowawcze bardzo groźne. Dziecko niewrażliwe na cudze cierpienie staje się zarazem mniej podatne na wpływy wychowawcze, a ogromnie podatne na wszelkie zło i demoralizację.

Niektóre matki intuicyjnie rozumieją istotę i wagę problemu.

Toteż od najmłodszych lat starają się temu zapobiec i przeciwdziałać.

Oczywiście na razie przeważnie nie jest potrzebne stosowanie drastycznych metod wychowawczych. Jeśli jednak dziecko nie rozumie, że sprawia ból zwierzęciu — naszym bezwzględny obowiązek jest wytłumaczyć to dziecku w taki sposób, by dobrze zrozumiało i dobrze zapamiętało.

Warto też zwrócić uwagę na dobór książek, jakie dziecku czytamy czy dajemy do czytania. Wiele z nich może rozbudzić zainteresowanie życiem zwierząt, życzliwość i zrozumienie. Możemy na przykład przeczytać dzieciom opowiadania o zwierzętach Jana Grabowskiego („Kochany zwierzyńiec”), opowiadania pełne humoru i serca, dzięki którym świat zwierząt wydaje się bliższy i ciekawszy. Dla starszych, kilkunastoletnich przyrodników nieocenione będą książki dr. Jana Zabińskiego, które w sposób naukowy wyjaśniają najróżniejsze zjawiska i zagadnienia dotyczące świata zwierzęcego.

Oczywiście książki, dorywcze kontakty ze zwierzętami czy nasze dobre nauki nie zastąpią dziecku miejskiemu pełnej, prawdziwej przyjaźni możliwej przy bezpośrednim obcowaniu ze zwierzęciem. Jednak i w dużym mieście istnieje stosunkowo prosta i łatwo dostępna forma zbliżenia dziecka do istot żywych: jest nią dokarmianie ptaków w zimie. Ileż to radości dla dziecka, gdy może przez okno obserwować ptaki, gdy wie, że pomaga skrzydlatym przwiciolom w przetrwaniu zimy!

Czasem rodzicom może się wydawać, że karmienie ptaków daje korzyści wychowawcze niewspółmiernie małe, że po prostu „nie warto sobie zawracać głowy”. Powinniśmy jednak pamiętać, że daje ono dziecku także coś więcej: kształtuje i pogłębia

O jedenastej kazala gasic swiatlo. Andrzeja nie bylo, slyszala, ze wrócili dopiero o trzeciej i gwizdal jakies kuplety. Wracal z hulanki widocznie.

Nazajutrz w drzwiach lecznicy spotkala Kazia Downara. Operacja byla skonczone.

Nie pytajac, po oczach jego jasnych poznala, ze byl kontent.

— Uratowana?! — zawolala radośnie, wyciagajac doń obie ręce.

Skinal głowa, usmiechnal sie i ujawszy w swe olbrzymie łapy jej drobne dłonie — rzekł:

— Udaló się. Tymczasem niebezpieczeństwo zażegnane. Do brze. Dziecko nie zostanie sierotą. Ale pani niech tam nie idzie, wieczorem chyba. A czego to pani tak źle wygląda, anemia się zbiera! Paskudna choroba. Moc weźmie, nerwy starga. Nie trzeba się poddawać.

— Czy to można być zdrowym, kiedy się chce?

— Młodemu można i nawet trzeba! A nie tęsknić do pola, nie tęsknić, ono śpi, odpoczywa teraz. Zima, chłód, głód, ludzie cierpią. U Wieczorków na Solcu mówili mi wczoraj: ta pani, co ją pan doktor przysłał, to ino wejdzie i już jakby słońce weszło! Zanieść im słońce w tę suterenę, wyręczyć mnie staro, bo nie mam czasu. A chorobie się nie dać!

— Idę, profesorze — usmiechnęła się.

Popatrzał jej bystro w oczy.

— Wie pani, kiedy człowiek głupio czas marnuje? Kiedy się nad sobą żali.

Zarumieniła się, spojrziała nań wdzięcznie i rzekła:

— Dziękuję, profesorze!

Ucisnęli jeszcze raz dłonie i rozeszli się.

Downar spojrzal na zegarek, potem do notatnika.

— Mam trzy godziny dla swoich — zamruczał i ruszył na Smolną, nie uważając wcale, że o sto kroków za nim szła żona. Doprowadziła go do rogu Nowego Świata i w kwadrans po nim zadzwoniła do mieszkania w znajomej sobie kamienicy.

Po chwili otworzono jej i w progu, zamykając sobą wejście, stanęła stara kobieta w czepcu i kaftanie, typowa chłopka.

— Chcę się zobaczyć z doktorem Downarem.

Baba popatrzała na nią, ruszyła ramionami.

— *Ne suprantu!* — odparła cofając się i zamykając drzwi, ale Downarowa nie ustępowała.

— Nie udawaj, więdźmo! Jestem żona doktora Downara i będę się z nim widzieć.

Gwar kilku głosów slychać było w mieszkaniu, śmiechy, ożywną rozmowę.

— Idź, zawołaj mi tu zaraz tego swego pana! — tupnęła nogą Downarowa.

Baba powtórzyła swoje: *ne suprantu*, a że w tej chwili Downar zawołał! Barbikie! — snadź to jej była nazwa — zatrzasnęła Downarowej drzwi przed nosem! Dzwoniła nadaremnie kilka razy, wreszcie zesza i wyszukała stróża, który był wściekły, bo mu właśnie ktoś skradł miotłę:

— Czy tu ktoś jest u doktora Downara?

— Albo ja wiem? — mruknął.

— Co to za baba tam służy u niego?

— Meldowana je. Baba, zwyczajna baba.

— Dodzwonić się nie można.

— A pani do onej baby ma interes? Ona ci nie gada po ludzku, Zmujdzianka je czy jakoś tak.

— Chcę się zobaczyć z doktorem.

— On ci nie przyjmuje państwa tutaj, ino czasem prosty naród. Niech pani ze swą chorobą idzie do jego szpitala.

Tu ujrzał chłopaka wyglądającego z sutereny i zwrócił się do niego:

— Niczyja robota, ino twoja, obwiesiu! Gdzie je miotła, kundlu! Tyś ino przeleciał bez bramę i już miotły nie ma!

— Miotła, miotła! — zaskrzeczał chłopiec. — Po ki diabeł mi ten ozóg. Wasza może na niej dymnęła na Łysą Górę.

Stróż poskoczył do okienka, zaczęła się szermierka językowa, podwórko zaludniło się gapiami. Downarowa wyszła na ulicę.

Gdy Downar przyszedł do domu na obiad, znalazł w mieszkaniu nieład, a na środku jadalni wielki kufer, do którego żona zносиła garderobę. Lokaj i służąca pomagali jej w tym tak pilnie i ochoczo, jakby to była ich własna wyprawa, a w drzwiach od kuchni stała gruba Franciszka, kucharka, i usmiechała się założywszy beczynnie ręce na fartuchu.

— No, co się stało? — zagadnął.

— Wyjeżdżam.

— Dokąd? Co tak pilno?

Nie było odpowiedzi. Zrozumiał tedy, że pytać dalej nie warto. Zrozumiał, że Franciszka nie gotowała obiadu i że najlepiej zrobi, gdy zniknie. Nie rzekł słowa, tylko zacisnął zęby, oczy mu dziwnie pociemniały, zwrócił się i wyszedł. Na schodach spotkał Andrzeja Sanickiego.

— Profesor wychodzi, a ja właśnie chciałem się poradzić.

— Służę. Wstąpię do pana. Jakoś pan istotnie na chorego wygląda.

Weszli do gabinetu Andrzeja.

— Chory właściwie nie jestem, ale miałem wypadek z bronią, byłem ranny w bok, lekko zresztą, ale musiałem za wcześnie tu wrócić i gorzej mi znowu dolega.

Downar go obejrzał.

— Trzeba poleżeć dni kilka, nic złego, ale się nie goi rany, biegając po mieście. Mięśnie poszarpane; tylko o parę cali na lewo, toby pan poleżał trochę dłużej, bo do sądu ostatecznego. Paskudne bywają wypadki z bronią.

— Nie będę leżeć, profesorze. Nie mogę.

— Ano, jak pan nie może, to nie — odparł flegmatycznie Downar. — To opatrzę pana co dzień wieczorem przez pierwsze trzy dni, a potem nauczę żonę pańską, jak zrobić opatrunek; za dwa tygodnie będzie pan zdrow.

— No, nie, żona mnie opatrywać nie będzie, ona wcale nie wie o wypadku i nie chce, by wiedziała. Profesor mi raczy dochować sekretu.

— Naturalnie, ale ja tu jeszcze panu coś przepiszę. Cały system nerwowy rozklekotany jak stuletni fortepian. Nigdy pana nie widział w tak złym stanie! Trzeba się szanować, panie Andrzeju. Sypia pan dobrze?

— Wcale nic prawie. Miałem ostatnimi czasy masę zajęcia i nieprzyjemności.

— Zajęcie i owszem — to zdrowe, a nieprzyjemności... w pana wieku i położeniu być nie powinno przy dobrej woli.

wrażliwość dziecka, poczucie solidarności ze światem istot żywych, dążenie do udzielania rzeczywistej, realnej pomocy.

Kształtowanie właściwej postawy dziecka wobec przyrody — postawy nowoczesnej, rozumnej i życzliwej, jest więc bardzo ważnym zagadnieniem wychowawczym zwłaszcza dzisiaj, kiedy w

miarę postępu cywilizacji przeciętny mieszkaniec miasta coraz dalej jest od życia przyrody. Brak nam tych możliwości, jakie mieli nasi przodkowie, by obcować na co dzień z przyrodą, z jej pięknem i bogactwem, by bezpośrednio poznawać więzy łączące człowieka ze światem roślin i zwierząt.

W warunkach życia miejskiego

życiowości wobec przyrody powinna się wyrażać przede wszystkim w formie poszanowania wspólnych terenów zielonych, w dążeniu do ochrony kwiatów, drzew i krzewów, zarówno sadzonych ręką człowieka, jak i rosnących swobodnie, samoistnie. Jeśli zaś tak układają się warunki, że dziecko nie ma możliwości, by czynnie być opiekunem

roślin, to niech przynajmniej nie będzie ich niszczycielem.

Podobnie wobec zwierząt, człowiek nie ma najmniejszego prawa, które pozwalałoby mu na jakiegokolwiek przejawy okrucieństwa.

MATEUSZ BURIAN

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spółeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Dąbrowskiego 60, 02-561 Warszawa. Telefon redakcji: 45-04-04; administracji: 45-54-93. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy: Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312 zł, rocznie 624 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-20145-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny, — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Druk PZGraf., ul. Smolna 10. Nakład 25 000 egz. Zam. 439. T-32.



W pół godziny potem wrócił Szpanowski. Chora ucieszyła się dzieckiem, ale Zosia była zhasana i senna, więc ją położono spać w sąsiednim pokoju, a Szpanowski usiadł przy łóżku i spytał.

— Kazia dawno wyszła?
 — Była parę godzin. Zewzali ją do domu bo mąż przyjechał. Jutro rano tu będzie, zabierze małą na cały dzień. Prosiłeś reagenta?
 — Będzie o dziesiątej.
 — To dobrze. Sprzedałeś te akcje? Kupiłeś bilety?
 — Tak.
 — To mi je połóż do szufladki. Czy jest równo pięćdziesiąt tysięcy?
 — Trzysta kilkanaście rubli więcej.
 — To zostaw u siebie. Bilety zawiń w papier, zapieczętuj swoim sygnetem i daj mi tu atrament i pióro.
 Spełnił wszystkim. Tedy się uniosła na posłaniu i napisała coś na pakiecie, potem schowała go pod poduszkę i opadła wyczerpana.
 — Żle ze mną — rzekła pośpennie.
 — Mówilem dziś z doktorem Morawskim. On ręczy, że operacja cię uratuje.
 — Ale Downar tego nie mówi.
 — Downar chce może uchodzić za cudotwórcę.
 — Nie, tylko on nie blagier. Czyś ty kiedy słyszał, żeby kto z raka wyzdrowiał?. Nie ma o czym mówić. W najlepszym razie pomęcę się czas jakiś jeszcze, ale co to warte? Mówmy o interesach. Górów przejdzie na ciebie i Zosię; milionową będziesz miał dziedziczkę, ty jej jeszcze drugie tyle fortuny dorobisz. Będą się o nią kiedyś dobijali! Chcę, żeby Kazia ją wychowała.
 — Kazia! — zdumiał.
 — Tak. Ona dostanie te pięćdziesiąt tysięcy ode mnie jutro ciepłą ręką, żeby je miała dla siebie. Za to przysięgła mi opiekować się Zosią.
 Szpanowski podniósł oczy. Takie to było niepodobne do Kazi.
 — Chcesz, żeby mała u niej była! Co na to powiedzą Sanicy? Mogą sobie przykrzyć dziecko w domu.
 — Bądź spokojny. Będą inaczej traktować Kazię bogatą.
 — Ależ ona tych pieniędzy nie przyjmie.
 — To moja rzecz! A ja ci mówię, że przyjmie i spełni moje polecenie. A gdyby tobie o nich wspomniała — pamiętaj, że to moja ostatnia wola i życzenie, żeby ona była matką dla Zosi. Pamiętaj, pamiętaj! Wymagam tego i — proszę! — dodała.
 Szpanowski poruszył brwiami.
 — Da Bóg, sama wychowasz małą — rzekł z westchnieniem.
 Nazajutrz, gdy Kazia przyszła, Szpanowska zająłaby, by została z nią sama.
 Rozmawiały pół godziny, potem Kazia wyszła, prowadząc Zosię za rękę. Znać było, że płakała. Ucałowała gorąco ojca.
 — Przyjdę wieczorem — szepnęła mu i wyszła prędko.

Andrzej z Radliczem przyjechali wieczorem i razem zjawili się w pustym domu.

Sceny, której się Andrzej obawiał, nie było tedy na razie. Służący z własnego impetu pobiegł po Kazię. Przyszła i jakby nic spytała, czy zyczą jeść lub herbaty, tłumacząc, że oboje z teściem obiadowali na mieście. Ledwie lotem spojrzła na męża. Potem zajęła się domowym gospodarstwem, poprosiła ich do jadalni i zabawiła swobodną rozmową o wypadkach miejskich. Mówiła tylko z Radliczem, bo Andrzej, ponury, wściekły, palił papierosy i herbatę. Wreszcie wstał i rzekł:

— Musiało się nzbierać masę interesów. Państwo wybaczą, muszę, muszę przejrzeć korespondencję.
 Gdy wyszedł, Radlicz się roześmiał z cicha.
 Zmarszczyła brwi i spojrzła nań surowo.
 — Pana to bawi?
 — Bawi! — odparł zuchwale. — Cieszę się, gdy kto cierpi. Głupcy nic innego nie są warci. I pani nawet nieciekawa wiedzieć, co tam się stało?
 — Wcale. Kto cierpi, nie jest głupi, ale stać się może złym. Pana to może bawić, mnie — nie.
 — Nie myślałem o pani cierpieniu! — tłumaczył się.
 — I słusznie. Mnie cierpieć nie wolno — odparła twardo.
 — Pani cierpieć nie powinna — poprawił obejmując ją gorącym spojrzeniem.
 — Teść przyszedł — rzekła wzdygając się.
 — Bomba pęknie! Zmykam. Nie myślę, żeby bito tłustego cielca na powrót marnotrawnego syna!
 Prezes poszedł wprost do gabinetu syna.
 — Raczyleś przecie wrócić! — zagał wściekły. — Może zechcesz zastanowić się i opamiętać?
 Andrzej wstał i patrzył zuchwale.
 — Nad czym mam się zastanawiać! Miałem interesa i nikomu, sądzę, nie jestem obowiązany się tłumaczyć z parotygodniowej nieobecności.
 — Zapewne, do sądu cię nie wezmą ani do więzienia za to nie wsadzą.
 — No, więzienie mam tutaj — mruknął ponuro.
 — Masz dom. Obowiązki, stanowisko, opinię i jesteś żonaty! Przed tym będziesz się musiał tłumaczyć.
 — Przed żoną może? — spytał szyderczo. — A ja ojcowi zapowiadam, że ani myślę, ani chce, ani będę się usprawiedliwiał. Ojciec mnie ożenił, ojciec wie, w jakich warunkach. Zastrzegam sobie swobodę i będę jej używał!
 Prezes patrzył na niego oszołomiony.
 — Andrzej, czyś oszalał? Widzę, żeś niepoczytalny w tej chwili, i mówić z tobą nie będę. Jak oprzytomniejesz, sam zrozumiesz, ileś głupstw popełnił. Gdzie byłeś ranny?
 — Głupstwo, draśnięcie! — burknął.
 — Widziałeś żonę?
 — Widziałem. Miała rozum milczeć i niech to jej ojciec i na-dal zleci.
 Prezes patrzył nań, ruszył ramionami i wyszedł.

Nad domem zawisła ponura cisza. Andrzej wyszedł o ósmej, stary zamknął się u siebie. Kazia załatwiwszy domowe sprawy poszła na górę i szła rozmyślając, że znowu, jak w Górowie, jest istotą zawadzającą i nigdzie, nikomu ani miłą, ani potrzebna.

POZIOMO: 1) budowla sakralna, 5) zajęcie dla flisaków, 10) dewotka, 11) klątwa, 12) ukryta drwina, 13) mąż Penelopy, 15) pieśń gondolierów weneckich, 16) nietakt, 19) zakaźna choroba endemiczna, 21) cenne futro, 25) pieśń wieczorna trubadura dla ukochanej, 26) tłuczeń drogowy, 28) miesiąc postu u mahometan, 29) w ekwipunku strażaka, 30) klamra spinająca pękające mury, 31) nie blondynka i nie szatynka.

PIONOWO: 1) Pismo Święte, 2) imię pan Onufry, 3) port lotniczy, 4) zawsze z wodorem, 6) mazgaj, 7) nimfa z orszaku Artemidy, zamieniona w źródło, 8) strunowy instrument muzyczny, 9) drzewo liściaste, 14) głowa państwa republikańskiego, 17) pirat, 18) solenizant z 26 grudnia, 20) podpalacz-psyhopata, 22) pisarz, 23) miasto nad Morzem Beringa, 24) wypadek drogowy, 27) akompaniament.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 30”. Do rozlosowania

nagrody książkowe

Rozwiązanie krzyżówki nr 26

POZIOMO: Weronika, opoka, tandeta, interes, Adrian, milimetr, afekcja, targ, zupa, tornister, plebania, partia, amoniak, szarada, atlas, kałamarz.
PIONOWO: witraż, ryngraf, nielaska, kram, pałnik, kariera, milicjant, ostroga, Karolinka, czaprak, eskapada, Piemont, estrada, malina, rakarz, ospa.

Za prawidłowe rozwiązania krzyżówki Nr 21 nagrody wylosowali: Karolina Szychowska z Łodzi i Michał Podczerwiński z Czarnego Dunajca.

Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 30

